Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

NAKŁAD: 135.726 CENA 70 GR

NUMER 510 (6823)

KIELCE 2. VIII. 1969 R.

ORGAN KW PZPR W KIELCACH

Słowo

Magazyn

prognozy ... AŃSKI ... MIN

Perspektywy pracy

Polityka pełnego zatrudnienia była tradycyjnym postulatem ruchu robotniczego, nie tylko zresztą komunistycznego. Od czasu wielkiego kryzysu 1929—1933 obietnice „pełnego zatrudnienia" zaczydowały coraz częściej znajdować się w programach wyborczych szanujących się partii mieszczańskich, aż po brytyjskich konserwatystów, kiedyś zupełnie — bo programowo — nieczułych na problemy społeczne. Sprawie tej poświęcili setki rozpraw ekonomiści już zuazyjni idący śladami Keynesa oraz teoretycy współczesnej socjaldemokracji zachodnioeuropejskiej.

Współczesne rozwinięte kraje kapitalistyczne wypracowały szereg — niekiedy skutecznych — środków w walce z masowym bezrobociem. Sytuacja z lat 1929—1933 nie powtórzyła się. Jednakże prawie każdy kraj kapitalistyczny boryka się nieustannie z problemem bezrobocia.

W krajach socjalistycznych postulat pełnego zatrudnienia stał się jednym z fundamentalnych założeń polityki ekonomicznej. W większości tych krajów prawo do pracy uzyskało rangę normy konstytucyjnej, co zobowiązuje oczywiście organy państwowe, wśród nich zaś te, które opracowują i uchwalają plany gospodarcze, do kierowania się wytyczną konstytucji.

W Polsce Ludowej polityka pełnego zatrudnienia była realizowana w sposób konsekwentny. Wystarczy tu przypomnieć uchwały IV Zjazdu PZPR i późniejsze posunięcia, które miały na celu zapewnienie pracy dla sławnej fali wyżu demograficznego.

W ostatnich jednak latach w niektórych krajach socjalistycznych, a w pewnym zakresie także w Polsce, pojawiły się cry raczej rozpowszechniły poglądy stawiające pod znakiem zapytania dotychczasową politykę zatrudnienia. Podtarty te opiera się na różnego rodzaju argumentacji.

Przede wszystkim podkreśla się fakt, że pod względem wydajności pracy kraje socjalistyczne pozostają wciąż znacznie w tyle za rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi i że trwałość tego zjawiska — mimo najróżniejszych prób oddziaływania — wynika z braku owego straszaka — jakim jest bezrobocie.

Argumentacja powyższa należy do klasycznego arsenału poglądów nazywanych zazwyczaj technokratycznymi, dla których efektywność działania ma zdecydowanie pierwszeństwo przed względami społecznymi i ludzkimi. Co więcej, technokraci dokonują nie dozwolonego zabiegu polemicznego, przeciwstawiając w sposób zupełnie dowolny owe treści społeczne i ludzkie efektywności działania. Dla technokraty wszelkie zasady społeczne i ideologiczne są po prostu przeszkodą w działaniu. Takie stanowisko godzi wprost w humanistyczne treści socjalizmu, a także w planie społeczno-gospodarczym cofa nas wstecz, bo wiemy przecież socjalizm tkwi w rozwoju świadomości ludzi pracy, a nie w uruchamianiu strzałków charakterystycznych dla kapitalizmu.

Zrozumiała niepopularność wspomnianej argumentacji („technokratycznej" sprawia, że raczej rzadko głoszona jest ona i uzasadniana publicznie. Przeciwko polityce pełnego zatrudnienia wysuwa się częściej bardziej wyrafinowane argumenty, które — stwierdzić trzeba — mają niekiedy charakter „prawd częściowych" i których nie można wobec tego po prostu odrzucić.

Te bardziej wyrafinowane argumenty można streścić i uszeregować w następujący sposób:

1. Dążenie do pełnego zatrudnienia powoduje nadmierny wysiłek inwestycyjny, preferuje nowe inwestycje kosztem modernizacji istniejących zakładów oraz wywiera niekorzystny wpływ na kierunki i strukturę inwestycji.

2. Dążenie do pełnego zatrudnienia ma niekorzystny wpływ na postęp techniczny, także dlatego, że zmusza do stosowania technik pracochłonnych, a więc często przestarzałych, pozwalając jedynie na wprowadzanie postępu technicznego w dziedzinie oszczędności materiałów i surowców.

3. Omawiane dążenie powoduje przerosty zatrudnienia, które utrudniają wprowadzanie nowoczesnej organizacji pracy, a często wpływają demoralizująco na pracowników.

4. Stały i szybki wzrost zatrudnienia utrudnia wprowadzanie rzeczywistych bodźców materialnych oraz wzrost stopy życiowej na podstawie indywidualnej pracy realnej. Tymczasem wzrost stopy życiowej na podstawie wzrostu zatrudnienia (model rodziny pracującej) nie jest należycie doceniany przez społeczeństwo, gdyż ludzie zwykli oceniać wzrost stopy życiowej przede wszystkim na podstawie indywidualnych płac realnych.

Ta lista argumentów nie jest z pewnością kompletna. Jest już jednak widoczne, że nie można przejść nad nią do porządku dziennego, zwłaszcza w okresie, w którym mówi się w sposób zdecydowany o konieczności przejścia do polityki intensywnego i bardziej selektywnego rozwoju.

Ta nowa polityka gospodarcza niewątpliwie wyklucza inwestowanie oparte nie na wszechstronnym rachunku ekonomicznym, lecz na dążeniu do zwiększenia liczby stanowisk pracy. Postulat połączenia rewolucji społecznej z

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

W orońskim parku

Fot. Erazm Ciołek

spotkanie w Orońsku

„Praca? Najpierw należy poznać wysiłek, jaki trzeba włożyć, żeby stalowym dłutem rozbić kryształ kwarcytu, a potem z przymrużeniem oka słuchać wrzasku świata o dostojeństwie pracy i patrzyć na faryzejskie wymigiwanie się od niej..."

Tak pisał w „Kulturze" współczesny poeta, Józef Gielo o pracy kamieniarzy, pracy, którą zna doskonale, bo przeszedł sam skomplikowaną drogę twórczą od rzeźby rytej, jak sam mówi, w niepospolicie twardym kwarcycie, do poezji tworzonej z poszczególnych słów. Niezprzypadkowo wybrałem ten cytat i ten przykład drogi twórczej. Nasunął mi się podczas niedawnego pobytu w Orońsku, gdzie przez trzy dni poeci, krytycy biorący na swój warsztat poezję współczesną i rzeźbiarze z całej Polski uczestniczyli w sympozjum. A było to sympozjum niepospolite, w orońskim parku można było spotkać Stanisława Grochowiaka i Zbigniewa Jerzyne, Bogusława Hoffmana i Domicelle Bożekowską. Twórców znanych z tomików poezji o nieniejszych rozmiarach i autorów monumentalnych rzeźb.

Tłem spotkań był stary park, gdzie w naturalnych warunkach przyrody rozlokowano ponad siedemdziesiąt rzeźb, kamieniołom w Bolechowicach, pracownie rzeźbiarskie i cafe „Pod Muchą", gdzie jak twierdzą złośliwi, na stojąco mieści się sześć osób.

Nikogo nie zaskoczyło, że stary park gościnnie przyjął pod swoje konary kamienne formy, bo tak dzieje się już od lat pięciu. Zaskakująco nowy był mariaż kamienia i słowa — form wyrazu dwóch dziedzin twórczości na pozór odległych, a w rzeczywistości bliskich sobie niebywale. Związki te istnieją tak dawno, jak dawno istnieje poezja i rzeźba. Marmurowym poręczom starożytnego Rzymu — dostojnym i spokojnym — towarzyszyły heksametry opiewające to właśnie bohaterstwo, przekornym aniołkom barokowym, pełnym ozdobników i wypukłości, barokowe wiersze wypełnione chorobliwie długimi i powikłanymi metaforami.

Elementem, który łączy rzeźbę i poezję jest ten sam skrót myślowy, metaforyczność, umowność i szukanie tych samych środków wyrazu. Dostrzegam tu jeszcze inne powiązania — narzędzia rzeźby i wiersza.

Dla postronnego obserwatora praca rzeźbiarza jest niebywale ciężka, gdzież ją porównać z maszyną do pisania, gładkimi kartkami wypełnianymi linijka po linijce wierszem. Ale same narodziny formy i wiersza i rzeźby są takie same. Dyktuje je potrzeba przekazania współczesnych treści, problemów współczesnego człowieka, szukanie pomostu między koncepcją twórcy a odbiorcą. Nie należy jednak myśleć, że orońskie spotkanie miało charakter hermetycznej dyskusji zamykającej się w sferach sztuki. W jednym z orońskich dni poeci udali się do bolechowickiego kamieniołomu, gdzie na tle chropowatych ścian, z których wyrywa się kawałki kamienia recytowali swoje wiersze, może zrodzone z takim wysiłkiem, jak i rzeźby, które można podziwiać w parku.

Byli jeszcze i krytycy, którzy oglądali narodziny rzeźby i wiersza. Podczas jednej z rozmów z Januszem Termerem, który publikuje swoje szkice krytyczne w miesięczniku „Poezja", padło zdanie, że tegoroczne orońskie spotkania, pierwsze tego typu w kraju, są czynnikiem inspirującym w znacznym stopniu wyobraźnię twórców i są doskonałym przykładem, dobrze pojętej integracji. I w Orońsku pojęłam, dlaczego nam, w Kielcach, nie udała się integracja, prowadzona przez literatów, poetów, plastyków i aktorów przy piwie. Brakło nam, niestety, tego niezbędnego elementu, jakim dla przykładu w Orońsku był skrót myślowy, łączący rzeźbę i poezję.

A że organizatorzy, sami także artyści, nie zapomnieli przy okazji dyskusji o twórczości i o sprawach ciała sprowadzając w ostatnim dniu mistrza sztuki kulinarnej Cupero, który nad ogniskiem upiekł dwa przegrzmiałe barany, atmosfera w Orońsku była znakomita i ci, którzy tam w tym roku spędzili trzy dni — wrócą na pewno w roku przyszłym.

ELWIRA FEDOSIUK

Kamienie i słowa

W numerze:

- Z poczty „Moggi" — o wszystko o maturach
- Pytania czekające na odpowiedź
- Galanteria, futra i manufaktura (z cyklu: ludzie, mury, obyczaje)
- Przygoda z psem (opowiadanie)
- O miotle i zbójeckiej podkowie
- Co zrobię z „moim" kawałkiem Księżyca i inne materiały nie z tej ziemi

Z notatnika

W autobusie

Na dworcu autobusowym w Końskich samochód się zapełnia. Tłocznie. Duszno. Przepychanie. Kierowca kinie. Z trudem domyka drzwi.

Zamknął. Teraz ruszymy.

Stara kobieta — na zewnątrz — wali pięścią w blachę, maca nogami stopień.

Kierowca wstaje. Jest spocony, zdenerwowany, znów będzie rugał, będzie...

Otwiera: co poniusia, co jest do...

Kobieta ma bilet. Niewłaściwy.

Wasz pekaes odszedł, gospodzi — mówi szofer. — Odzie? Gdzie baba...

Kobieta krzyczy.

...dlaczego wy, wy... tak cicho zapowiadacie...

Szofer czerwienieje, chce...

Nic. Patrzy. Już zobaczył.

Z kieszeni swetra wystaje brzeg czarnego, bakelitowego pudełka. Obok kołysze się — opadający spod chustki na głowie — cienutki kabelek, zakończony lutno zwisającym łącznem.

Chwila ciszy.

I znów krzyk kierowcy.

Nachyla się: niech pani zsiada, zaraz, prędko, spróbujemy coś...

Wyciąga rękę, podtrzymuje. Wnosi taboret.

Przekręca kluczyk, wrzuca bieg: ...tamten przed dwoma minutami. Do Żarnowa mamy wspólną trasę, złapiemy...

Prowadzi spokojnie.

Ludzie milczą.

A cham, chamy wszystkie — stara kobieta mamrocze obelgi, wygaduje cały swój żal.

...przecież każdy..., każdy kto kupił bilet... i my musimy zawsze na miejscu..., nasz obowiązek...

Do kogo on to mówił? — myślę — Za cicho mówi teraz, ta kobieta go przecież nie usłyszy.

Ale kierowca się uśmiecha. Uśmiecha się i co chwilę zgarnia wierzchem dłoni pot z twarzy.

A autobus pasażerki stał w Żarnowie.

Potem milliśmy chwilę... Wyszedłem. I gdy notowałem numer naszego wozu (żeby napisać, ciepło napisać o...) — podbiegł szofer, nazwał mnie cholernym cwaniakiem i pytał, co mi się nie podoba.

To, właśnie to...

Nowa Słupia jest starą osadą. Jest bardzo dużą wsią o zdrowym klimacie. W sezonie przeciągają tędy wy cieczki i zatrzymują się letnicy.

Często bywam w Nowej Słupi. Wynajęłem pokój blisko lasu, zawiozłem syna.

Biały, piętrowy dom... Właśnie: większość domów posiada piętra — wszystkie nowe muszą. Takie zarządzenie miejscowej rady.

I są wodociągi. Pod górą ujęcie, żelazny płot z napisem „Wodociągi Miejskie". Smaczna, źródlana woda z kranu.

Gdy w dalekim Kraśniku parę osób zachorowało na tyfus — ze słupeckich kranów buchnęło chlorem. Sypnęli obficie.

A wzdłuż głównego asfaltowego traktu — od rynku po stok Łyśca — kwitną kolorowe kwiaty w rabatkach. Nowiutkie kosze na śmieci także świecą jaskrawymi tęczami lakieru.

Na słupeckich ulicach często spotkać można postawnego mężczyznę w średnim wieku. Sprawdza czystość obejść, wizytuje kwatery, sam prowadzi letników na pokoje.

Sekretarz rady wciąż się śpieszy — nie chodzi dostojnie, jak u gromadzkiej władzy w zwyczaju.

Poznałem go. Zamieniliśmy zaledwie parę zdań, ale już czuję: sekretarz Majcher chce abym napisał..

Napisał o piętrowych, białych domach. O wodociągach, kwiatach, koszach. O tym...

I o tym także — właśnie..

Że, kto przyjedzie, spotka się z pomocą tutejszej władzy, że przedstawiciele władzy osobiście...

Fakt. Fakt, a może także próba samochwalstwa?

Nie sądzę. Słupia jest wsią. Wsią sięgającą ery miejsiny.

W Słupi, obok chodników, ustawiono ławki. Przesiadują na nich miejscowe gosposie — taksują wędrowców, plotkują, czekają na urlopowiczów.

Urzędnik witający, przychylny, usłużny... Krzątanina, bieganie — to splendoru nie przynosi. Tutaj jeszcze nie.

Ale już dużo nowych domów i kwitną kwiaty i szumi — chlorowana — woda w rurociągach.

I coraz więcej ludzi z wielkich miast przyjeżdża latem do Słupi Nowej — wsi gospodarnej. Wsi — bądź co bądź — o zdrowym klimacie.

Drzwi

Tu — w Radomiu, przy ulicy Nowotki — działo się to wszystko...

Czy wszystko rzeczywiście?

Dla dziesięciorga ludzi — prawie. Dla wielu, bardzo wielu — więcej niżby z relacji sprawy wynikało.

Siedzimy w kuchni. Drzwi od kuchni prowadzą do przedpokoju. Z przedpokoju, kolejne drzwi — na klatkę schodową.

Prosty układ mieszkania. Zwyczajność. Zapach olejnej farby, kurzu i mydła...

Kobieta otwiera skorosyt, przekłada karty opatrzone urzędowymi pieczęciami. Kart jest sześćdziesiąt parę.

Blisko osiem lat walczyła rodzina Gulów o...

Najpierw chodziło nam o dostęp do kuchni i o możliwość przechodzenia przez korytarz, bezpośrednio na klatkę schodową — mówi kobieta. — Ale chodziło nam również i o więcej...

O więcej?

Dzieje lokatorskiej wojny...

W starym domu, w wielkim mieszkaniu na parterze — cztery rodziny. Potem jedna rodzina — zajmująca kuchnię — zmieniła adres, wprowadzając na swoje miejsce tak zwanego dzikiego lokatora. Gulowie (cztery osoby z szesnastometrowego pokoiku) od dawna marzyli o kuchni. O kuchni, prawo do której miejskie władze lokalowe im oczywiście przyznały. Dziwnie długo nie mogąc eksmitować nieprawowitego lokatora...

Gdy wreszcie, bodajże przed pięciomu laty, lokator opuścił pomieszczenie, konflikt wydawał się rozładowany. W mieszkaniu zostały trzy rodziny.

Ale żeby zrozumieć — powiada kobieta — trzeba wszystko poznać...

Żeby zrozumieć?

Więc dobrze: pokój Gulów — pierwszy korytarzyk — kuchnia — wyjście z kuchni do przedpokoju — z przedpokoju na klatkę schodową. Obok pokoiku Gulów — pokój sześcioosobowej rodziny Nesków. Wyjście z tego pokoju — do pierwszego korytarzyka, wspólnego z Gulami. Drzwi w lewo — do drugiej kuchni, kuchni Nesków. Z kuchni — drzwiami na drugie schody...

Z chwilą otrzymania oddzielnej kuchni, Gulowie przestali przechodzić przez kuchnię Nesków. Korzystali z drugiego przed pokoju. Z przedpokoju tego korzystał także kolejny lokator — samotna pani M., zajmująca trzydziestometrową izbę.

Pani M. nie chciała przepuszczać Gulów przez przedpokój.

Po pewnym czasie polecono Gulom zamurować drzwi od kuchni. Drzwi do wspólnego — dzielonego z M. — przedpokoju. Aby rozdzielić rodziny...

Rozdział był dziwny. M. zostawiono pokój i przedpokój z samodzielnym wejściem. Czteroosobowej rodzinie Gulów zalecono korzystać ze wspólnego z Neskami korytarzyka i przechodzić do drugiej klatki schodowej przez kuchnię sześcioosobowej rodziny.

Kto wydał takie zarządzenie?

Szelest papieru. Najpierw decyzja radomskich władz lokalowych. Zgodnie z logiką, urządzającą potrzeby dwóch licznych robotniczych rodzin.

Później pismo kolejne. Propozycja władz budowlanych — sprzyjająca pragnieniom M.

Decyzja władz wojewódzkich — anulująca postanowienia władz miejskich. Decyzja: zamurować...

Ponaglenia prokuratora: dokonać rozdziału, zlikwidować kuchenne drzwi.

To się ciągnęło — powiada Gulowa — ciągnęło się długo, pisaliśmy odwołania, tłumaczyliśmy. Wszystko mam w tej teczce...

...nie, nie dam panu teczki, nie pożyczę. To ważne dokumenty. Lepiej opowiem... Więc kiedy przyszli murarze w eskorcie milicji, pobiegłam do Komitetu Zakładowego partii. Tak, w zakładach, w których pracuję — w Walterze...

Opowieść długa, chaotyczna.

...robotnikami są Neskowie i mój mąż..., nie, wiedy już nam zaleciała na wiecej... Na prawie, uczciwość. Więc udaliśmy się do partii...

Gulowa ściska skorosyt: ...to dałam tylko towarzyszom z Komitetu Zakładowego i towarzyszowi Kwiecińskiemu...

Przyznaję: z sekretarzem Komitetu Miejskiego PZPR w Radomiu — z towarzyszem Kwiecińskim — krępowałem się rozmawiać.

Sprawa kuchennych drzwi...

Do sekretarza poszedłem w połowie lipca — w gorącym i ważnym okresie. W okresie spraw wielkich.

Ale powiedziałem.

Gulowie? — towarzysz Kwieciński ustadł za biurkiem, wyjął notatki, poprosił sekretarkę, aby nam nie przeszkadzano.

...bo wiecie, to było dla nas bardzo istotne. Problemem zajmowało się kilku towarzyszy. Gregorek, Stanik z Waltera...

Wacław Stanik się uśmiecha.

... przyszli do nas. Do partii przyszli. Tyle lat nie chciano uznać ich zwykłej, małej sprawy. Tyle czasu bawiono się przepisami i ludźmi. Nie rozumiano... Więc powiedziałem kiedyś Kwiecińskiemu. Poprosił o wszystkie dokumenty. Nie podniósł słuchawki telefonu, nie mruknął: a załatwcie to jakoś... On rozmawiał, pytał, zastanawiał się. I pewnie nie zastanawiał się nad problemem umieszczenia drzwi... Przez te kuchenne, przez te boczne drzwi zobaczyliśmy znacznie więcej...

... sprawę Gulów zreferował Kwieciński na plenum. Podczas kolejnego plenum zaprosił wielu urzędników, zażądał informacji. I kiedy powiedziano, że jeszcze wciąż..., on powiedział coś tak... Powiedział: istnieją podstawy, by sądzić, że naruszono podstawowe prawa społeczne, naruszono praworządność socjalistyczną. Kto narusza praworządność — z tego my trochę wytrzepiemy...

Kobieta odprowadza mnie do wyjścia. Dokumenty mi potyczy. Chce, tylko jeszcze raz sprawdzić: czy jestem z gazety. Z partyjnej gazety...

...ach, oczywiście! Ja mam do wszystkich zaufanie. Już zaczynam mieć zaufanie — powiada.

Przeprasza za początkowe wahanie.

...człowiek jest zdenerwowany, nie pomyśli spokojnie. A przecież wszystko zostało mądrze rozwiązane. A przecież — nawet jakby co — to wiem, że Komitet, te towarzysze...

BOGUSŁAW RAJCHERT

...rewizja zasady pełnego zatrudnienia — nie! (Radzimy przeczytać interesujący artykuł pt. „Perspektywy pracy").

fot. B. Duda

Z notatnika

Los naszego narodu jest ściśle związany z internacjonalną walką o wolność i postęp

Uroczysty wieczór w 25 rocznicę Powstania Warszawskiego

Przemówienie Z. Kliszki

WCZORAJ w Sali Kongresowej PKIN odbył się uroczystyczny wieczór poświęcony 25 rocznicy Powstania Warszawskiego. Na uroczystość, którą otworzył prezes Zarządu Okręgu Warszawskiego ZBoWID, gen. brygady Tadeusz Pietrzak, przybyli: członkowie Biura Politycznego, sekretarze KC PZPR — Zenon Kliszko i Ryszard Strzelecki, gospodarze stolicy oraz przedstawiciele władz naczelnych ZBoWID. Salę wypełnili mieszkańcy stolicy, przedstawiciele zakładów pracy, w tym byli powstańcy Warszawy, członkowie ruchu oporu, kombatanci, weterani, młodzież.

Okolicznościowe przemówienie wygłosił Z. Kliszko.

DRODZY PRZYJACIELE I TOWARZYSZE!

Mija dzisiaj 25 lat od chwili wybuchu Powstania Warszawskiego. Przed 25 laty raz jeszcze w historii naszej stolicy lud warszawski wystąpił do walki o wolność i niepodległość, na ulicach Warszawy stanęli barykady, a brzegi Warszawski spłynął krwią serdecznie najlepszych narodowych i demokratycznych patriotów.

W czasie ostatnich 170 lat Warszawa nieraz chwytała za broń podejmując walkę o swe wyzwolenie narodowe i społeczne. Jednak pod wielomą wzgórzami Powstanie Warszawskie 1944 roku jest wydarzeniem, które nie daje się porównać z poprzednimi doświadczeniami naszej historii.

Większą niż kiedykolwiek przedtem cenę zapłaciła stolica i cały naród. Warszawa po upadku powstania w rzeczywistości przestała istnieć.

Pod gruzami — cmentarz 250 tysięcy poległych — cytadela i żołnierzy. Reszta ludności wywieziona do obozów jenieckich, do pracy przymusowej, do obozów koncentracyjnych.

Skarby kultury gromadzone przez pokolenia, pamiątki historii ojczystej, zagrabione, spalone, wysadzone w powietrze.

Powstanie Warszawskie było tragicznym splotem różnych i sprzecznych motywów, nagłą eksplozją na gruncie klasowych przeciwieństw i interesów.

Z jednej strony — bezprzykładne wręcz bohaterstwo patriotyzm i wola walki wszystkich i ofiarność młodzieży, całego ludu warszawskiego, warszawskich matek i żon warszawskich robotników i szarych mieszczuchów, którzy w ogniu walki zdobywali się na heroiczne czyny.

To jedna — niezapomniana strona historii Powstania Warszawskiego. Ale jest i jej druga strona. Ponura strona egoizmu klasowego i megalomanii, małych intryg i fałszywych spekulacji, a przede wszystkim braku elementarnej odpowiedzialności ze strony tych ludzi, którzy wbrew podstawowym wymogom strategii wojskowej bez porozumienia z dowództwem radzieckim i z dowództwem Wojska Polskiego, wezwali prawie bezbronne miasto do bitwy z potężnymi dywizjami, z artylerią i lotnictwem niemieckim. Patriotyzm i bohaterstwo ludu Warszawy zostało nadużyte w imię klasowych interesów i politycznych aspiracji tych, którzy Polską w okresie międzywojennym rządzili.

Zapytać ktoś może czy dzisiaj po 25 latach trzeba przypominać o tych dwóch prawdach Powstania Warszawskiego? Czy nie wystarczy z tej historycznej tuż perspektywy wspólnie podjąć głos o nad grobami zonalić walce i wzięć pamięć polskich bohaterów uroczystym zdmieszczeniem apelem.

Większą niż kiedykolwiek przedtem cenę zapłaciła stolica i cały naród. Warszawa po upadku powstania w rzeczywistości przestała istnieć.

Pod gruzami — cmentarz 250 tysięcy poległych — cytadela i żołnierzy. Reszta ludności wywieziona do obozów jenieckich, do pracy przymusowej, do obozów koncentracyjnych.

Skarby kultury gromadzone przez pokolenia, pamiątki historii ojczystej, zagrabione, spalone, wysadzone w powietrze.

Powstanie Warszawskie było tragicznym splotem różnych i sprzecznych motywów, nagłą eksplozją na gruncie klasowych przeciwieństw i interesów.

Z jednej strony — bezprzykładne wręcz bohaterstwo, patriotyzm i wola walki wszystkich i ofiarność młodzieży, całego ludu warszawskiego, warszawskich matek i żon warszawskich robotników i szarych mieszczuchów, którzy w ogniu walki zdobywali się na heroiczne czyny.

To jedna — niezapomniana strona historii Powstania Warszawskiego. Ale jest i jej druga strona. Ponura strona egoizmu klasowego i megalomanii, małych intryg i fałszywych spekulacji, a przede wszystkim braku elementarnej odpowiedzialności ze strony tych ludzi, którzy wbrew podstawowym wymogom strategii wojskowej bez porozumienia z dowództwem radzieckim i z dowództwem Wojska Polskiego, wezwali prawie bezbronne miasto do bitwy z potężnymi dywizjami, z artylerią i lotnictwem niemieckim. Patriotyzm i bohaterstwo ludu Warszawy zostało nadużyte w imię klasowych interesów i politycznych aspiracji tych, którzy Polską w okresie międzywojennym rządzili.

Zapytać ktoś może czy dzisiaj po 25 latach trzeba przypominać o tych dwóch prawdach Powstania Warszawskiego? Czy nie wystarczy z tej historycznej tuż perspektywy wspólnie podjąć głos o nad grobami zonalić walce i wzięć pamięć polskich bohaterów uroczystym zdmieszczeniem apelem.

Bo właśnie wtedy nie po raz pierwszy w naszej historii olbrzymi ładunek bohaterstwa, patriotyzmu i gotowości złożenia własnego życia w ofierze został zmarnowany, wykorzystano go w celach narodowej polskiemu obcych i dalekich.

U podstaw politycznych i ideologicznych koncepcji tych, którzy zadecydowali o powstaniu, leżała klasowa wrogość do polskiego obozu lewicy i postępu społecznego, tkwiła głęboka niechęć do współdziałania ze Związkiem Radzieckim i jego Armią Czerwoną.

Jest świadectwem historycznej dojrzałości naszego narodu, że wysnuł niezbędne wnioski z tragicznych powikłań swej najnowszej historii, że wyrwał się z kręgu koncepcji politycznych klas posiadających i obrał udział się za nową socjalistyczną drogą rozwoju Polski.

Niedawno obchodziliśmy z przeciętem uznadnionej dumy, z całego naszego dorobku, 25-lecie Polski Ludowej. Zamknęliśmy pierwsze ćwierć wiecze socjalistycznego bytu i rozwoju, którego drogę otworzyła narodowi polskiemu nasza partia i związane z nią siły lewicy. Wchodziliśmy na nią w czas wojennej burzy i kształtowania się nowego oblicza świata, wymagający najwyższej mądrości politycznej. Tylko marksistowsko-leninowska partia klasy robotniczej, tylko w sojuszu ze Związkiem Radzieckim mogła zwycięsko przeprowadzić nasz naród przez ten dramatyczny okres historii, zrównać Polsce nowe sprawiedliwe granice, odbudować państwo polskie na nowych zasadach ustrojowych i dokonać socjalistycznego uprzemysłowienia kraju.

Polska Ludowa dzięki temu zdobyła i utrwala nowe swoje miejsce w Europie i świecie. Miejsce godne jej wielkich postępowych tradycji, zapewniające pomyślną przyszłość.

Otworzyło się oto nowe ćwierćwiecze. Będziemy teraz pracować przy nowych punktach odniesienia i skalach przywiązań. Okres międzywojenny, do którego najczęściej porównywaliśmy dotychczas jest już w zbyt dalekim dystansie. To, co dalej będziemy osiągać — musimy konfrontować — porównywać z dotychczasowym dorobkiem.

Główne kierunki naszego dalszego rozwoju nakreślił V Zjazd partii. Wskazane one zostały w przemówieniu towarzysza Władysława Gomułki na jubileuszowym posiedzeniu Sejmu PRL.

Dotyczą one także Warszawy.

Odbudowa stolicy jest jednym z największych i najważniejszych osiągnięć władzy ludowej w minionym ćwierćwieczu. Miasto to odgrywa wielką rolę we współczesnym życiu Polski. Warszawska klasa robotnicza — to jeden z czołowych oddziałów klasy robotniczej całego kraju. Tu znajduje się główne centrum naszego życia politycznego. Tu skoncentrowany jest wielki potencjał kulturowym, mającym tak za sadzicze znaczenie dla dalszego dynamicznego rozwoju Polski socjalistycznej. Tu znajduje się wiodący ośrodek życia kulturalnego.

DRODZY PRZYJACIELE!

Sprawą przewodnią, łączącą wszystkie wydarzenia w historii naszego miasta, ideą naczelną przekazywaną z pokolenia na pokolenie był zawsze, jest i będzie gorący patriotyzm ludu Warszawy. To jemu — bezgranicznemu patriotyzmowi ludu Warszawy składamy dzisiaj hołd. Stanowił on wielką siłę materialną w dalszym rozwoju naszego miasta — zwycięskiej i pięknej Warszawy, stolicy Polski socjalistycznej.

Jest to dziś patriotyzm dojrzały na naukach przeszłości, mądry, łączący w jedno umiłowanie ojczyzny z poczuciem odpowiedzialności za jej losy. Jest to patriotyzm zespolony z internacjonalizmem — z poczuciem braterskiej więzi z narodami innych państw socjalistycznych, ze wszystkimi siłami wolności i postępu. Historia uczyła nas niejeden raz, że los naszego narodu, w tym także los Warszawy jest ściśle, bardziej niż wielu innych narodów i miast, związany z internacjonalną walką o wolność i postęp. Prawda ta jest dzisiaj, w dobie wielkich rewolucyjnych zmian w życiu ludzkości, w dobie historycznej rywalizacji między starym światem kapitalizmu i nowym rodzącym w siłę światem socjalizmu bardziej niż kiedykolwiek aktualna. Ofiarowujemy socjalizmu w tej rywalizacji całyby bezwzględnie świadczenie polski niepodległości i bezpieczeństwa naszego.

DRODZY PRZYJACIELE, MIESZKAŃCY WARSZAWY!

W ćwierćwiecze Powstania Warszawskiego składamy, razem z całym narodem, hołd pamięci wszystkim, którzy zginęli za wolność stolicy i ojczyzny. Oddajemy hołd żołnierzom polskim i radzieckim, którzy ją wyzwolili. Oddajemy cześć tym wszystkim, którzy wskrzesili ją z gruzów, dla nowego życia. Złóżmy ludowi Warszawy najlepsze życzenia dalszego rozkwitu naszego ukochanego miasta.

Spotkanie kierownictwa lubelskiej WSR z I sekretarzem KW PZPR w Kielcach

Wczoraj przebywali w Kielcach — rektor WSR w Lublinie, prof. dr **Bohdan Dobrzański**, w towarzystwie dziekana Wydziału Zootechnicznego, doc. dr **Edwarda Sosimowskiego** i dyrektora administracyjnego, mgr inż. **Adama Gorzały**. Na spotkaniu z I sekretarzem KW PZPR, tow. **Tadeuszem Rudolfem**, w którym uczestniczyli również z-ca przewodniczącego Prez. WRN, **Mieczysław Dereżski** i z-ca kierownika Wydziału Rolnego KW PZPR, tow. **Bogusław Domagała**, omówiono dotychczasową działalność punktu konsultacyjnego lubelskiej WSR w Kielcach. Kierownictwo WSR oceniło pozytywnie pracę tego punktu. Główny omawiany problem w czasie spotkania to potrzeby kadrowe gospodarki rolnej województwa kieleckiego i zadania WSR w kształceniu kadr dla rozwijającego się rolnictwa naszego województwa. W związku z tym rozważano dalsze perspektywy rozwojowe punktu konsultacyjnego WSR w Kielcach.

I sekretarz KW PZPR, tow. Tadeusz Rudolf, wyraził duże uznanie dla prof. Dobrzańskiego i całego zespołu wnioskowania za dotychczasową pomoc i trudne w rozwoju rolniczych studiów wyższych w Kielcach.

23 q z ha

Pierwsze omłoty

Jak informuje nas agronom gromadzki z Łaka (pow. włoszczowski) Mieczysław Żybek, miejscowe kółko rolnicze przystąpiło 31 lipca do omłotów żyta z tegorocznych zbiorów. Kółko gospodarzące na 7 ha resztówce z czego 4 ha zasiano żytem zakontraktowanym dla państwa. Zbiory okazały się dobre (23 q z 1 ha). Omłoty zakończą się dzisiaj i tego samego dnia kółko rolnicze dostarczy zebrane zboże do magazynów GS-u w Irządzach. (mr)

Hitlerowskie gazy bojowe zatruwają Bałtyk

BONN PAP. — Prasa krajów skandynawskich podniosła ostrzegawczy alarm, w związku z wypadkami zatruć rybaków z Kiku już krajów nadbałtyckich Uległi oni zatruciom podczas łowienia ryb. Szczególnie niebezpiecznym okazał się rejon Bornholmu. W tym to właśnie rejonie zatopione zostały przez nie ilości hitlerowskiej amunicji wypełnionej różnymi środkami chemicznymi. Szacuje się, że na dnie morza spoczywają przeżarte już rdzą pociski mające ponad 20 lat, pod niebezpiecznych gazów.

Najwięcej obaw przyspieszają zalegające dno morskie zasoby trującego gazu tzw. musztardowego. W tych dniach do kliniki w Roenne na duńskiej wyspie Bornholm przywieziono dwóch rybaków, którzy podczas wyciągania sieci doznali ciężkich oparzeń typowych dla działania tego gazu. Gdyby leżące na głębokości 200 — 300 metrów i przeciekające poprzez prawdopodobne przeżarte rdzą otwory w pociskach z gazy, zaczęły z biegiem czasu wydobywać się z większą intensywnością, to ogromnym polem zatrowienia wybrzeża Bałtyku, jak i łowisk groziłyby koszmarne skutki.

W 25-lecie Partyzanckiej Republiki Pińczowskiej

Seminarium historyczne w Skalbmierzu

Mija właśnie 25 lat od chwili, gdy na terenach między Skalbmierzem a Pińczowem, na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. utworzona została Partyzancka Republika Pińczowska, skrawek wolnej i niepodległej Polski na obszarach zajętych przez Niemców. W rocznicę tego historycznego wydarzenia, w dniu dzisiejszym w Skalbmierzu (pow. Kazimierza Wielka) rozpoczyna się dwudniowe seminarium historyczne, w którym wezmą udział przedstawiciele władz i byli partyzanci. (IHK)

Nic nie przemawia za istnieniem życia na Marsie

NOWY JORK PAP. Zdjęcia rejonu równikowego Marsa, wykonane z odległości 3 120 km przypominają powierzchnię Księżyca. Obiektywy amerykańskiej sondy kosmicznej „Mariner-6", która przekazała w czwartek na Ziemię trzecią serię zdjęć, ukazują okolice pustynne, usiane kraterami różnej wielkości. Kamery sondy fotografowały rejony, w których część uczonych ma nadzieję odnaleźć jakieś ślady marsjańskiej wegetacji. Niestety — jak dotychczas — żadna z tych fotografii przekazanych do ośrodka w Pasadena nie wydaje się potwierdzać teorii o istnieniu najprymitywniejszych choćby przejawów życia roślinnego. Dokładniejsza analiza zdjęć przesłanych przez „Marinera-6" w środę, ujawniła ogromny krater o średnicy prawie 500 km częściowo przysłonięty chmurami, będącymi prawdopodobnie wynikiem parowania pod wpływem ciepła słonecznego.

„Każdy kłos na wagę złota"

Zebrano zboża z 1000 ha

Akcja ZMW „Każdy kłos na wagę złota" rozwija się nadal pomyślnie. Młodzieżowe brygady żniwne zebrały już zboża z powierzchni blisko 1 tys ha, pomagając wdowom, osobom starszym i chorym. Dotychczas najwięcej zbóż (po 100 ha) zebrano przy pomocy młodzieży w powiatach radomskim i kieleckim. Na terenie całego województwa szczególnie lubi ZMW z Tarczyna, Grzegorzewic i Lesnego. Nie próżniują również młodzież opoczyńska. Do chwili obecnej pomocy przy żniwach udzielali członkowie 88 kół ZMW zbierając zboża z powierzchni 60 ha. Podobnie wygląda sytuacja w innych powiatach. Nieco słabiej na krajowy apel władz ZMW odpowiedziała jedynie młodzież z pow. pińczowskiego, zwoleńskiego i opatowskiego. ZW ZMW apeluje więc aby i w tych powiatach młodzież wiejska masowo włączała się do akcji „Każdy kłos na wagę złota". (mr)

TOUR DE POLOGNE

Przy dużym upale i gorącym tempie 81 kolarzy wystartowało w Kozienicach do XII etapu Wyścigu Pokoju. Przez Kozienice, Kozienice, Ryki, Garwolin, Łaskarzew, Łuków, Siedlce, Sokołów Podlaski, Kosów Lacki, Ostrów Mazowiecka, Tykocin, Łomża, Szczuczyn, Grajewo, Ełk, Giżycko, Olecko, Żelazkowo, Olecko, Żelazkowo, Olecko, Żelazkowo

z poczty Magazynu — wszystko o maturach ◆ z poczty Magazynu — wszystko o maturach ◆

Mały żart czy duża rzecz? – zapytywała Teresa Łęcka pisząc o maturach w „Magazynie" z 5 lipca br. i przedstawiając głosy pedagogów, którzy... różnie sądzą. Są zwolennicy surowych egzaminów, są i tacy, którzy egzaminy uważają za nikomu niepotrzebną formalność.

Poniżej drukujemy uwagi nadesłane po opublikowaniu artykułu o maturach.

Red. Teresa Łęcka w swym artykule: „Matura — mały żart, czy duża rzecz?" (Magazyn Nr 506) podkreśla b. słusznie, że nadchodzący rok szkolny stwarza szczególną okazję do dyskusji nad naszym systemem oświatowym.

Abo człony naszego szkolnictwa uważały się — jak powiedziała autorka — „w całość logicznie współpracującą", poszczególne ogniwa tej całości same muszą być konstrukcjami logicznymi i głęboko uzasadnionymi. Tymczasem nie wszystko, co dzieje się np. w szkole średniej typu ogólnokształcącego, posiada swoje uzasadnienie. Twierdzenie to odnosi się szczególnie do programów nauczania naszego liceum.

Raz po raz odzywają się głosy rodziców i publicystów, że programy nauczania liceów ogólnokształcących powinny być zróżnicowane, że istnieć powinno kilka przynajmniej dróg kształcenia ogólnego, zgodnych z zainteresowaniami i zdolnościami młodzieży, a także przyszłym kierunkiem studiów. Podobne stanowisko reprezentują także czołowi twórcy myśli pedagogicznej w Polsce.[1])

Potrzebę wprowadzenia wielkości równowartościowych dróg wykształcenia ogólnego uzasadnia się przede wszystkim tym, że każdy człowiek odzwierciedla w sobie świat w sposób indywidualny, a odzwierciedlenie to ma miejsce nie tylko dzięki poznaniu pewnej dziedziny zjawisk, lecz także dzięki przeżyciu stosunku do rzeczy poznawanych.

Rzecz zrozumiała, że celem zróżnicowanych programów nauczania nie powinno być eliminowanie części uczniów z dalszej nauki, lecz skierowanie każdego z nich na drogę dalszego kształcenia się. Koncepcja zróżnicowanych programów nauczania nie zakłada też, jak sądzą niektórzy, likwidacji systemu klasowo-lekcyjnego, gdyż lekcji zbiorowej — ze względu na społeczny, a więc grupowy charakter poznania — niczym nie można zastąpić. Koncepcja ta domaga się jedynie uwzględnienia w procesie dydaktyczno-wychowawczym niekończonego zróżnicowania przyrody, której częścią jest człowiek.

Jednakże ani głosy rodziców i publicystów, ani też ustalenia współczesnej psychologii, a których wynika konieczność wprowadzenia zróżnicowanych programów, nie mają żadnego wpływu na rzeczywistość. Programy te wciąż bowiem mają charakter zunifikowany. Władza szkolna uparcie tkwi w dziwnej — jak pisze K. Koźniewski (Polityka Nr 25) — „zaciekłości przeciw uczniowi" i nie może się zdobyć na wprowadzenie zróżnicowanych programów nauczania, na dokonanie wyboru w materiale nauczania obowiązującym ucznia.

Władza ta jest zadowolona, gdy młodzież chodzi do szkoły i otrzymuje pozytywne oceny. Nie interesuje się ona tym, że praca ucznia naszego liceum, która powinna być przez niego odczuwana jako wewnętrzna potrzeba i źródło radości, kojarzy się w jego świadomości ze strachem przed „dwójami" i przymusem zgłębienia takich nauk, do których nie ma on żadnych zdolności.

CAF — Staszyszyn

Na temat zróżnicowanego liceum

Nasuwa się w tym miejscu niedopuszczalne pytanie, dlaczego koncepcja jednakowych programów nauczania dla wszystkich uczniów liceum ma dotąd zastosowanie w praktyce, chociaż jest jasne, że jest ona wyrazem obojętności wobec oczywistych różnic psychicznych uczniów i stanowi usankcjonowanie na terenie szkoły nietolerancji wobec odmiennych indywidualności.

Wydaje się, że jedną z podstawowych przyczyn takiego stanu rzeczy jest tkwiące u jego podstaw założenie, iż w demokratycznym systemie szkolnym wszyscy uczniowie muszą być traktowani w sposób jednakowy.

Tymczasem jednakowe traktowanie prze program wszystkich uczniów tylko wtedy stanowiłoby dla nich gwarancję równych szans, gdyby wszyscy ci uczniowie nie różnili się między sobą zdolnościami i zainteresowaniami i gdyby ekonomiczne, społeczne i kulturalne położenie ich rodzin było jednakowe. Ponieważ jednak tak nie jest, jednakowy start i równe szanse dyrlewne wszystkich uczniów mają charakter czysto formalny.

Przyjęcie w naszym demokratycznym systemie szkolnym zasady jednakowego traktowania przez program wszystkich uczniów powoduje skutki odwrotne do zamierzonych: nasze liceum selekcjonuje młodzież tzn. eliminuje niektórych uczniów z dalszej nauki. W dodatku, co już jest karygodne, selekcja ta dotyka niejednokrotnie uczniów bardzo zdolnych, ale „uzdolnionych tylko w określonym kierunku", na co zwraca uwagę w swej wypowiedzi wizytatorka KOS (por. art. red. T. Łęckiej). „Śmiertelność szkolna" na terenie naszego liceum uchodzi często uwadze obserwatora, gdyż hamuje ją w poważnym stopniu nacisk administracji szkolnej na nauczyciela. Nacisk ten obniża jednak, jak powszechnie wiadomo, wyniki nauczania, o które tak zawzięcie „walczy" owa administracja. Jest on więc szkodliwy nie tylko ze społecznego, ale i z pedagogicznego punktu widzenia.

Zjawisko „szkolnej śmiertelności" nie jest widoczne wyraźnie na terenie liceum ogólnokształcącego dzięki wprowadzonemu przed paru laty nowemu, b. liberalnemu regulaminowi egzaminu dojrzałości. Regulamin ten pozwala bowiem — na co słusznie zwraca uwagę w swej wypowiedzi dyrektor Zdzisław Jakubowski — zdać maturę takiemu uczniowi, który nie opanował nawet w stopniu dostatecznym materiału programowego z jednego lub — jak dowodzi praktyka — z dwóch przedmiotów nauczania.

Z powyższego wynika w sposób wyraźny, że koncepcja jednakowego traktowania wszystkich uczniów naszego liceum jest koncepcją egalitaryzmu abstrakcyjnego. Rekomendację zróżnicowanego środowiska społecznego stanowić może dla uczniów tylko zróżnicowany program nauczania. Taki program, który nie byłby obojętny na zainteresowania i zdolności uczniów, który dla każdego ucznia rozwiązywałby to samo zadanie, tzn. przygotowywałby go do życia i przyszłego kierunku studiów.

Nasze liceum ogólnokształcące ze swymi programami nauczania, jednakowymi dla wszystkich bez wyjątku uczniów, zakładają, że istnieje jakiś uczeń uniwersalny, nie zmieniający się w sposób istotny, gdy położenie społeczne i inne wyznaczniki ulegają modyfikacji. Życie duchowe ucznia naszego liceum upodobnia się do funkcjonowania przedmiotu martwego. Szkoła, o której mowa, nie bierze zresztą pod uwagę życia duchowego ucznia, ponieważ nie uczeń, lecz klasa szkolna jest przedmiotem jej zainteresowania. Jeśli widzi ona ucznia to tylko jako część gromady, ale nie jako osobowość. Nic więc dziwnego, że jest ona szkołą mało atrakcyjną i nie przyciąga do siebie zdolnych uczniów.

Nasze liceum przyjęło głęboko socjologiczny punkt widzenia: nie dostrzega ono ucznia na tle zróżnicowanego środowiska społecznego, lecz młodzież jako kategorię społeczną. Stanowisko to przypomina bardzo przeżytą już we wszystkich prawie dziedzinach postawę myślową, zakładającą istnienie jakiejś bliżej nie określonej „mizerii ludzkiej". Przypomina to także XVIII-wieczny materializm mechanistyczny, wg którego społeczeństwo jest sumą n i e r ó ż n i a c y c h s i ę między sobą atomów ludzkich.

Nasze liceum wreszcie zdaje się nie dostrzegać prostego faktu, że stawianie przed zespołem uczniów jednakowego zadania doprowadza do zadrażnień i konfliktów i do rozbicia jedności klasy. Że tam, gdzie nie ma współdziałania, nie ma wiązania w świadomości jednostek dobra własnego i swoich bliskich, nie ma wychowawczego wpływu w zakresie kształtowania postaw ideowo-politycznych.[2])

1. Por. np.: W. Okoń: Podstawy wykształcenia ogólnego. Warszawa 1967 r., Nasza Księgarnia.

2. Por.: Helmodor Muszyński: Główne mechanizmy kształtowania postaw ideowo-politycznych, w: Wychowanie Obywatelskie 1,69,s.26.

ZDZISŁAW JAKUBOWSKI

Oczywiste „duża rzecz"

Co roku wiosną i pierwszy miesiąc lata są okresem, w którym w prasie szczególnie dużo pisze się na temat egzaminów dojrzałości i rekrutacji na studia. Mimo istotnych różnic oba zagadnienia łączy bardzo wiele momentów wspólnych. Można powiedzieć, że jest to wspólny punkt dwu odcinków — koniec odcinka obrazującego okres nauczania w szkole średniej i (dla bardzo wielu) początek odcinka studiów wyższych. W tym punkcie skupionych jest równocześnie bardzo wiele kolizyjnych problemów i jeszcze więcej kontrowersyjnych stanowisk.

Szczególna sytuacja związana z tegorocznymi maturami w liceach ogólnokształcących (z racji ostatnich już klas jedenastych) nie uszła również uwadze naszej codziennej prasy miejscowej, czego dowodem artykuł Teresy Łęckiej pt. „Matura — mały żart, czy duża rzecz?" (Słowo Ludu — Magazyn Nr 506 z 5. 7. 69).

Deklarując się na wstępie jako zwolennik rygorystycznych, pełnych egzaminów dojrzałości, chciałbym spróbować spojrzeć na problem z pozycji pracownika wyższej uczelni, mając na względzie szczególnie ostatni, poruszony przez T. Łęcką, moment: „wszystkie człony naszego systemu oświaty muszą związać się w całość logicznie współpracującą".

W ciągu 18 lat pracy dydaktycznej w szkolnictwie wyższym co roku brałem udział w egzaminach wstępnych, co roku pracowałem z pierwszym rocznikiem studentów, a ponadto wielokrotnie uczestniczyłem w egzaminach dojrzałości jako obserwator. To właśnie stanowi podstawę, która — wydaje się — upoważnia do zabrania głosu na temat progu szkoła średnia — wyższa uczelnia lub inaczej: matura — egzamin wstępny.

Skoro poszczególne człony naszego systemu oświatowego mają ze sobą harmonijnie i logicznie współdziałać, a co do tego na pewno wszyscy są przekonani, to w pierwszym rzędzie należy starać się zlikwidować te wszystkie momenty, które powodują odpowiedzialność za trudności i nieprawidłową pracę szkoły danego szczebla zrzucić na szkołę szczebla niższego. Uważam, że jednym z takich momentów, jeśli chodzi o styk szkoła średnia — wyższa uczelnia, jest właśnie zbyt liberalny, obecny regulamin egzaminów dojrzałości wraz z całą gamą konsekwencji z niego wynikającą.

Bardzo wiele dyskusji na temat poziomu w szkołach, stopnia przygotowania danego zespołu, zasobu wiadomości, różnych błędów itp. sprowadzanych jest dotychczas: dawniej było lepiej, uczniowie byli lepiej przygotowani, takie błędy były nie do pomyślenia itd. Chciałbym wyraźnie odciąć się od tego rodzaju dyskusji i wniosków. Wydaje mi się, że takie sądy wiążą się ze zdecydowanie subiektywnymi odczuciami pewnych sytuacji lub własnymi, najczęściej nigdy nie weryfikowanymi, przeżyciami.

A natomiast nie problem: lepiej — gorzej. Jest na pewno inaczej, teraz ważne czy to „inaczej" może oznaczać „prawidłowo". Otóż uważam na przykład, że Eliksir ostatnich roczników absolwentów szkół średnich wykazuje odczywanie j e d n o s t r o n n e przygotowanie do pokonywania napotkanych na egzaminach i w dalszej nauce przeszkód. Można to tego samego wcześniejszego abiturienta zaobserwować np. dużą wprawę w stosowaniu typowych rozwiązań i zupełną bezradność w sytuacjach wymagających indywidualizowania lub wykorzystywania pojęć a nie schematów.

Nie mam zamiaru najmować się całością regulaminu egzaminu dojrzałości. By jednak móc przedstawić swoje spojrzenie na sens egzaminu dojrzałości, konieczne staje się zrobienie pewnych założeń, które — w pełnym mniemaniu — powinny znaleźć się w znowelizowanym regulaminie. Oto one:

Egzamin dojrzałości w zakresie języka polskiego i matematyki winien składać się z części pisemnej i ustnej. Kwestia zwolnienia od egzaminu ustnego z tych przedmiotów winny dotyczyć tylko tych, którzy posiadali ustabilizowane oceny bardzo dobre w klasach od II do IV i powierdzili je bardzo dobrą oceną pracy pisemnej.

Egzamin ustny — poza egzaminami z języka polskiego i matematyki — właściwie obejmować niezależnie od przedmiotu egzaminu z wychowania obywatelskiego (z racji specyfiki tego przedmiotu rzecz na pewno bardzo dyskusyjna, szkołowiek równie ważna) oraz dwa przedmioty do wyboru, i to miejsce na poważną i sensowną rolę dla szkoły, by przynajmniej jeden z wybieranych przedmiotów był zgodny z kierunkiem ewentualnie projektowanych studiów wyższych.

Powinna istnieć możliwość dopuszczenia do matury z jedną oceną dostateczną przedmiotu podlegającego egzaminowi.

Jestem zwolennikiem pełnego egzaminu dojrzałości. Dlaczego? Oto moje „za", przyczyna głównie w oparciu o mój przedmiot tzn. matematykę.

Egzamin dojrzałości stanowi ten moment w życiu ucznia szkoły średniej, który powinien zobowiązywać go do kompleksowego i rygorystycznego spojrzenia na zagadnienia, problemy, pojęcia, metody, z którymi spotykał się w poszczególnych klasach, w praktyce bieżącej nauki. Wszystkie, teoretycznie rzecz biorąc, powinien nimi opanować w sposób pełny i pewny, ale praktyka mówi przecież co innego. Pozostają bowiem w świadomości tylko efekty końcowe, rzecz zwykle „obrazek". A suma zapamiętanych „obrazków" to jeszcze nie dowód opanowania materiału. Przygotowanie do egzaminu dojrzałości powinno zatem stwarzać konieczną okazję do indywidualnego wyrobienia tego właśnie przekrojowego spojrzenia przez rzetelnego uporządkowania utrwalenia wiadomości. By zapewnić należyty rezultat — potrzebne są wyraźnie rygorystyczne ramy formalne.

Jeżeli świadectwo dojrzałości jest dokumentem usankcjonowanym przez państwo, to musi być rezultatem komisyjnej opinii o abiturienciu widzianym na tle poprzedniej pracy, ale dziś i to w konkretnym działaniu. Egzamin dojrzałości powinien stanowić możliwie najmocniejszą próbę i rzetelny sprawdzian przed egzaminem wstępnym.

Argumenty, że egzamin jest przeżyciem wysoce emocjonalnym, są oczywiście słuszne. Ale na pewno nie wysparczają do likwidacji egzaminu. W życiu każdy z nas składa cały szereg, często bardzo denerwujących, egzaminów. A zresztą na zdenerwowanie w przypadku egzaminów szkolnych jest też pewien sposób. Oczywiście nie uniwersalny, ale za to dostępny i taki, który bardzo przydałby się naszym współczesnym abiturien tom i kandydatom na studia. Otóż stwierdzono wielokrotnie, że najbardziej denerwują się ci, którzy mają po temu powody w postaci... braku wiadomości. Stopień zdenerwowania jest na ogół odwrotnie proporcjonalny do posiadanych wiadomości.

Z kolei kwestia dla mnie zasadnicza tj. egzamin ustny. Regulaminowe założenia sprecyzowałem wyżej. Uważam, że k o n i e c z n o ś ć powszechnego egzaminu ustnego z matematyki (a zapewne podobne stanowisko zajmą poloniści) wynika z następujących przyczyn: Nowe programy zawierają specjalnie dużo takiego materiału, który z jednej strony — jest bardzo potrzebny z punktu widzenia wykształcenia ogólnego, a z drugiej — nie bardzo daje możliwości kontrolowania stopnia opanowania przez pracę pisemną (w dotychczasowym jej rozumieniu). Matematyka coraz powszechniej wkracza w najróżniejsze, pozornie zdawałoby się nic z nią nie mające wspólnego, dziedziny naszego życia. Bez wartości staje się więc stwierdzenie: po co mam zdawać matematykę, skoro i tak nic z nią nie będę miał wspólnego po ukończeniu szkoły.

Niezależnie od powyższego, przy egzaminach wstępnych na studia wyższe matematyka jest dziś przedmiotem egzaminacyjnym dla ponad 60 proc. kandydatów (dane dotyczą studiów dziennych). A to zobowiązuje. Dla szerokiego ogółu matematyka jest tym elementem, który kształci kulturę logicznego myślenia i ścisłego, poprawnego przeprowadzania swoich myśli. A to też sprawa niebagatelna. W sytuacji, gdy egzamin ustny z matematyki zdają obowiązkowe prawie wszyscy maturzyści, niebanalny sens ma uczestniczenie w nim (i tu proponuję: z głosem doradczym) pracowników wyższych uczelni. Odwrotne tzn. uczestniczenie nauczycieli szkół średnich w egzaminach wstępnych (z głosem stanowiącym) będzie miało wówczas też pełniejszy sens. Łącznie przyczyniają się bezsprzecznie do wzajemnego działania na rzecz złagodzenia, sztucznie wytworzonego i wcale niepotrzebnego progu.

Rygorystyczne stanowisko w sprawie zwolnień od egzaminów ustnych tylko uczniów w pełni bardzo dobrych wyniku, w moim przypadku, z przedmiotu, o którym przypadku, z przedmiotu, o którym mowa, jest wynikiem przyzwyczajenia, że szkoła wyższa — przy współczesnym tempie rozwoju nauki — na pewno nie ma czasu na douczanie niedouczonych.

W uchwale V Zjazdu PZPR czytamy:

„... Najważniejszym zadaniem szkolnictwa wyższego jest coraz lepsze przygotowanie młodzieży do wykonywania wyuczonego zawodu w zgodzie z socjalistycznymi warunkami życia społecznego i przewyciężanie zaniedbań i słabości w pracy wychowawczej ze studentami.

Plany i programy nauczania szkół wyższych wymagają dalszego doskonalenia w takim kierunku, aby zdobyty przez absolwentów zasób wiedzy teoretycznej i specjalistycznej wystarczał dla samodzielnego podejmowania pracy zawodowej i uzupełniania kwalifikacji w miarę postępu nauki i techniki...".

Każde poważne zadanie stawiane przed szkolnictwem wyższym jest równocześnie w części zadaniem postawionym do realizacji przez szkolnictwo średnie. Oto dlaczego jestem zdeklarowanym zwolennikiem poważnych egzaminów dojrzałości.

Nie zmienia to równocześnie sytuacji, że egzaminy w ogóle stanowią problem, którym warto się zająć i to dużo szerzej, by uczynić je rzeczywiście pełnymi i rzetelnymi sprawdzianami wiedzy.

Sprawy Ziemi i Księżyca

fakty i opinie

Epoka wypraw kosmicznych rozpoczęła się niedawno. Pamiętny to był dzień, który wstrząsnął światem, gdy 12 kwietnia 1961 r. Jurij Gagarin wzniósł się w przestrzeń kosmiczną. W ciągu 12 lat badań kosmicznych Związek Radziecki i USA wystrzeliły w przestrzeń kosmiczną 4 tysiące różnych satelitów, stacji, sond i innego rodzaju pojazdów kosmicznych. Z tego 1700 jeszcze do tej pory kursuje na orbitach wokółziemskich. W wolce o zdobycie kosmosu dwie daty wejdą do historii i one się bardzo liczą. Pierwsze wydarzenie to lot Gagarina — pierwsze wejście w kosmos, a drugie to podróż astronatów amerykańskich — pierwsze wylądowanie ludzi na Księżycu.

Było to wydarzenie epokowe pod każdym względem. Przyniesie niewymierne konsekwencje, których dzisiaj jeszcze nie sposób przewidzieć. Oczywiście przewiduje się już dziś, że można będzie lepiej, niż to czynił Wicherek przepowiadać pogodę, ustalać korzystne daty zasiewów, poszukiwać bogactw mineralnych we wnętrzu Ziemi, wykrywać wczesne pożary lasów itp. Wszystko to mają czynić obserwacyjne sputniki. Mówi się także o tym, że poszukiwania techniczne nad doskonaleniem podróży kosmicznych przynoszą rewelacyjny rozwój techniki i wynalazków. To wszystko prawda, ale to nie wyczerpuje zagadnienia. Ogromny znak zapytania stoi jeszcze przed ludzkością. Zdania, jak zwykle są tu podzielone. Jedni twierdzą, że podróże kosmiczne będą błogosławieństwem ludzkości, inni znowu, że jest zgubą. Nie można jednak wyrokować. Kiedy bowiem mógł przewidzieć, co czynioną podróże Krzysztofa Kolumba, Maggelana czy Vasco da Gamy?

Kiedy Amerykanie chlubią się, i słusznie, swoimi księżycowymi sukcesami, zapominają o człowieku, który zainicjował program rozwoju kosmicznego USA. Był to nie kto inny jak prezydent J. Kennedy, który inicjując w USA program zdobycia kosmosu 25 maja 1961 r. powiedział: „Ale dlaczego Księżyc? Tak mogą niektórzy powiedzieć i mogą oni równocześnie zapytać, dlaczego zdobywamy najwyższe górskie szczyty na Ziemi?... Dlatego, że zarówno szczyty górskie, jak i Księżyc i planety istnieją, a z nimi wiążemy nowe nadzieje dla naszej wiedzy i pokoju". To wypowiedź Kennedyego była niewątpliwie szczera. Ale poza tymi celami kryły się i inne. Pamiętajmy o tym, że w tym okresie naród amerykański był pogrążony w olbrzymim szoku spowodowanym radzieckimi sukcesami w zdobywaniu przestrzeni kosmicznej. Jedynym osiągnięciem amerykańskim w tym okresie był lot Alana Shepharda (czas lotu — 15 minut, osiągnięta wysokość — 480 km). Niewątpliwym bodźcem rozwoju planu zdobycia Księżyca była także chęć rozkręcenia narodu amerykańskiego „po ośmiu śpiących latach rządów Eisenhowera". („Newsweek"). Do planu opanowania Księżyca wprzęgnięto pieniądze i najwybitniejszych naukowców. Celny strzał w Księżyc kosztował 24 mld dolarów. 20 tys. zakładów przemysłowych i 200 instytutów naukowych zostało wprzęgnięte w realizację tego planu. Precyzja wykonania poszczególnych części rakiety i pojazdu jest zdumiewająca. Prawie nie zawodzi żaden spośród 10 milionów detali. Gdyby 13 tys. różnych części samochodu osobowego było wykonane z taką precyzją, tak są wykonywane części do pojazdów kosmicznych, to dopiero po 100 latach użytkowania można by stwierdzić pierwszy defekt takiego samochodu.

Jakkolwiek lot na Księżyc jest sukcesem amerykańskim, to jednak przygotowanie statku kosmicznego i rakiety nośnej jest sukcesem ogólnoludzkim.

Start rakiety doksiężycowej nastąpił 16 czerwca 1969 r. Dokładnie w tym samym dniu 24 lata wcześniej (1945 r.) na pustyni Alamogordo w stanie Nowy Meksyk, Amerykanie dokonali próbnego wybuchu pierwszej bomby atomowej, jednej z tych, które w sierpniu 1945 r. zburzyły Hiroszimę i Nagasaki. To zbieżność dat nie jest przypadkowa. Pierwszą bombę atomową uważają za wielki sukces otwierający nowe drogi rozwoju ludzkości. Strzał w Księżyc w środę 16 czerwca 1969 r. — w 24 lata po pierwszym wybuchu bomby atomowej — Amerykanie uważają również za krok otwierający nowe drogi rozwoju ludzkości.

Amerykański filozof Lewis Mumford powątpiewa jednak o wartościach tego osiągnięcia. „Podróże kosmiczne, wielkie wykorzystanie energii, zdolności myślenia i inne wartościowe uzdolnienia ludzkie są tylko wyrafinowanym usiłowaniem odejścia od prawdziwej rzeczywistości tego świata!" Rozwijając dalej swoją myśl amerykański filozof uważa, że same podróże kosmiczne nie wystarczą. Sukcesy kosmiczne nie potrafią bowiem przesłonić nędzy slumsów z Newark, Detroit i Harlemu, wzrostu przestępczości i roli gangów, amerykańskiej wojny w Wietnamie, niedożywienia 50 mln Amerykanów. Nad Ameryką unosi się cień Pentagonu, sprzymierzonego i uzależnionego od wielkich koncernów. Raz po raz przenikają do opinii publicznej wieści nie tylko o przygotowaniach do wojny atomowej, ale i chemicznej i bakteriologicznej. „Triumf Apollo, to błysk światła na ciemnym przygnębiającym horyzoncie Ameryki. Naród amerykański ujrzał przed sobą perspektywę nowej drogi" (New Herald Tribune). Miejmy nadzieję, że to nowa droga sięgania dowiard będzie drogą pokojowych wyzwań, a nie drogą dalszych przygotowań do gwałtu i wojny.

MARIAN SKARBEK

z poczty Magazynu — wszystko o maturach ◆ z poczty Magazynu — wszystko o maturach ◆

WIESŁAW MERCIK

PYTANIA czekające na odpowiedź

Jest w powojennym ćwierćwieczu fakt, nad którym nie można przejść do porządku dziennego, z którym nie można się pogodzić. Fakt, który dla wielu Polaków stanowi źródło bolesnych, wewnętrznych rozterek i konfliktów sumienia. Fakt, którego konsekwencje społeczne i polityczne trudno określić inaczej, niż fatalne dla polskich interesów państwowych, dla narodowej integracji. Myślę tu o stosunku polskiej hierarchii kościelnej (a przynajmniej jej części) do wielkiego zespołu spraw i procesów zwanego polską rzeczywistością ustrojową. Myślę o stanowisku pewnych hierarchów Kościoła katolickiego wobec tych wszystkich zasadniczych przeobrażeń, jakie dokonane zostały pod kierunkiem partii, rękami milionów ludzi po wojnie, a które w dziedzinie gospodarczej, społecznej czy kulturalnej wysunęły nas z szeregu końca Europy na jedno z pierwszych miejsc. I zastanawiam się, dlaczego ów stosunek do naszej rzeczywistości społecznej i politycznej jest naacehowany tak głęboką nie chęcią i wrogością, tak wielką, że prawie totalną negacją.

Nie zamierzam sprawy upraszczać. Nie zamierzam pomijać milczeniem kwestii spornych, konkretnych warunków historycznych, które kształtowały poglądy ludzi Kościoła, czy sytuacji, które sprzyjały, pośrednio lub bezpośrednio, narastaniu konfliktów, nieporozumień i nieufności.

Pamiętając o nastawionej na pełne obroty antykomunistycznej propagandzie z lat 1918—1939, o zasadniczych różnicach ideologicznych między marksizmem a katolicyzmem, nie dziwię się zastrzeżeniom i nieufności, a nawet niechęci, jakie Kościół mógł żywić wobec nowej władzy w 1944 czy 1945 roku (choć o wiele trudniej wytłumaczyć to nie bezpośrednie, „czysto polityczne" zaangażowanie duchowieństwa po stronie partii prawicowych, a nawet udział — na szczęście nieliczny — księży w zbrojnym podziemiu).

Ale — przypomnijmy — od tamtego okresu minęło lat dwadzieścia kilka. Były te lata probierzem wartości socjalistycznych idei społecznych — a te mogły przemówić także do Polaków w sutannach (i — do wielu przemówiły!)

Były te lata również probierzem stosunku władzy ludowej do Kościoła (czy raczej do kościołów) i religii. Mnóstwo było czasu i okazji, aby przekonać się, co dla narodu polskiego zrobiła władza ludowa i porównać to z rzeczywistością okresu międzywojennego. I w rezultacie, wyciągnąć z tych obserwacji i porównań realne, konkretne wnioski, mające na względzie polską rację stanu i dobrze pojęty interes polskiego Kościoła.

Oczywiście, można i trzeba rozumieć zastrzeżenia Kościoła wobec niektórych aspektów marksistowskiej ideologii. Trzeba zgodzić się, że istnieją dziedziny, w których nie może być — z żadnej strony — kompromisu. Można, w jakiejś mierze zrozumieć i emocjonalne podejście ludzi Kościoła do pewnych posunięć rządu i partii, mających na celu sekularyzację życia społecznego. Choć nie wolno równocześnie zapominać, że w tej dziedzinie nadrabiamy tylko opóźnienia oraz że sekularyzacja życia publicznego jest przejawem obiektywnego, idącego przez cały świat procesu. Że np. zwalczany przez komunistów klerykalizm jest przedmiotem krytyki również najświatlejszych umysłów Kościoła.

Jednakże oprócz tych punktów (które choć wyznaczają linię ideologicznego starcia, nie muszą przez to samo prze kształcać się w punkty zapalne) istnieje ogromna dziedzina spraw wielkich i ważnych w skali społecznej i jednostkowej, w których wysiłki Kościoła mogłyby się spotkać z wysiłkami władzy ludowej. Istnieje wiele sfer życia społecznego, które mogłyby stać się terenem współpracy marksistów i katolików. Tymczasem — z wyjątkiem może stanowiska w sprawie granic zachodnich, n.b. stanowiska nie konsekwentnego we wszystkich innych zagadnieniach nie widać ze strony hierarchii kościelnej w Polsce żadnego dowodu poparcia dla polityki władzy ludowej. Żadnego życzliwego choćby gestu. Przeciwnie — cała ta polityka zarówno zagraniczna, jak i wewnętrzna jest od lat przedmiotem gwałtownych ataków i demagogicznej krytyki. Pomimo iż jest to polityka akceptowana i realizowana przez większość społeczeństwa polskiego, przez większość ludzi wierzących i — jestem przekonany — przez niemałą część księży. Pomimo, iż rezultaty tej polityki ma w wielu wypadkach tytułem do uzasadnionej dumy.

Owszem — istnieje współpraca marksistów i katolików, wierzących i niewierzących (bez niej nie osiągnęlibyśmy tego wszystkiego, co mamy!) ale współpraca ta realizowana jest wbrew stanowisku wielu hierarchów.

Nie zabiegaliśmy i nie musimy zabiegać o niczyją życzliwość i poparcie. Także — o życzliwość i poparcie hierarchii Kościoła katolickiego. To wszystko, co mamy — osiągnęliśmy sami, najczęściej wbrew stanowisku i działaniu Kościoła, który był przeciwny wszystkiemu, co nosiło znak społecznego postępu: od reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu do walki o pokój, od naszej orientacji w polityce zagranicznej do kierunków polityki ekonomicznej. Sami trudziliśmy się dźwigając z ruin i popiołów setki miast i miasteczek, odbudowując 970 tysięcy spalonych gospodarstw wiejskich, zniszczone w 60 proc. szkoły i instytucje naukowe. Kosztem niejednego wyrzeczenia stworzyliśmy — my, Polacy — siłę, która ma chronić nasz dom, nasze dzieci, naszą pracę przed zbrodniczą ręką niemieckiego militaryzmu (Krytykowano nas z ambon i za to?).

A jednak mamy prawo zapytać głośno: dlaczego negują się i lekceważy nasz trud ofiarności i osiągnięcia? Czy tylko dlatego, że wypracowane je pod kierownictwem partii marksistowskiej?

Dlaczego w setkach kazań, od lat, bez przerwy niemal, ten ustrój, który stworzył nowoczesne państwo polskie, sprawiedliwsze, niż kiedykolwiek stosunki społeczne, który dał ludziom chleb, pracę, naukę i z każdym rokiem stwarza lepsze perspektywy — dlaczego ten ustrój jest nieustannie obrzucany błotem, malowany w czarnych, wręcz apokaliptycznych barwach?

Znalazły się ciepłe słowa dla chrześcijan zza Łaby, choć chrześcijanie ci nie ukrywają swych odwetowych wobec nas planów. Znajdują się ciepłe słowa dla chrześcijan zza oceanu, choć chrześcijanie ci po tysiąc razy dziennie, od lat gwałcą podstawowe prawo boskie i ludzkie: nie zabijaj! Zabrakło tylko życzliwości, ba — zwykłego obiektywizmu dla braci Polaków. Czy dlatego, że mają oni inne poglądy na życie pozagrobowe? Czy może dlatego, że są aktywnymi przeciwnikami ustroju kapitalistycznego?

Pytanie twarde, ale uczciwe. Zwróćmy bowiem uwagę na jeden fakt: reprezentowane przez przywódców Kościoła katolickiego w Polsce stanowisko nacechowane wrogością wobec socjalizmu nie jest koniecznością doktrynalną. Nie wynika ani z nakazów Ewangelii, ani z dyrektyw papieża lub soboru. Wprost przeciwnie: tzw. encykliki społeczne dwóch ostatnich papieży nie uznają kompromisu tylko w sprawach wiary. W pozostałych sprawach zalecają katolikom współpracę z ludźmi o odmiennych poglądach dla wspólnego społecznego dobra. A więc?

A więc prowadzona od niemal ćwierćwiecza, narzucana milionom wierzących polityka nie wyraża nauki Kościoła. Jest wyrazem osobistych poglądów, osobistych nie chęci grupki ludzi wobec ustroju socjalistycznego.

Jest w tym fakcie dramat na miarę historii. Dramat, który w stosunkach Polski i polskiego Kościoła pojawia się, niestety, nie po raz pierwszy. Dramat, który kiedyś polegał na konflikcie polskiej i kościelnej racji stanu, a który dziś polega na tym, że przywódcy Kościoła usiłują mobilizować masy wierzących Polaków przeciwko ustrojowi, który stanowi żywą tkankę Polski. Bo — niezależnie od czyjejkolwiek intencji — Polska jest jedna. Ludowa, socjalistyczna. Bo klęska socjalizmu — byłaby klęską narodu.

Czas, naprawdę, czas najwyższy, aby zrozumieli to wszyscy Polacy. Także — wszyscy Polacy w sutannach.

do Młocin?

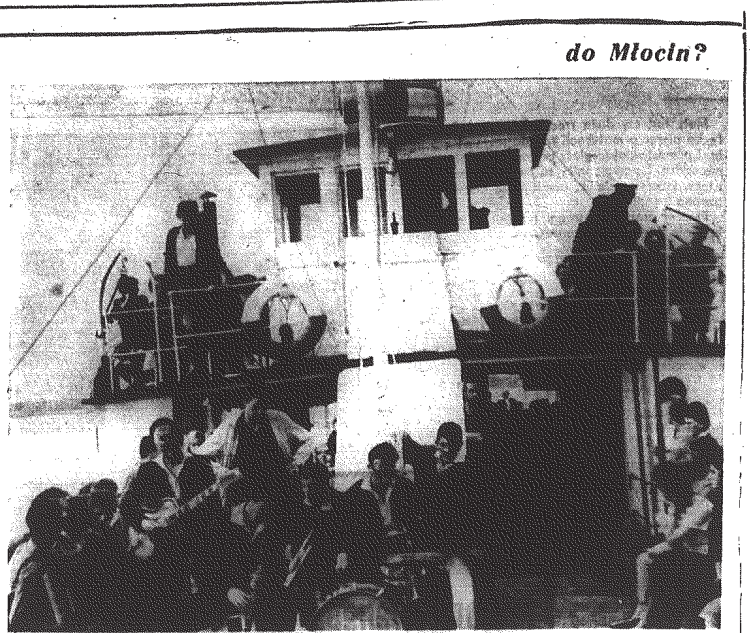

...nie, do Sandomierza. Także w niedzielę i — oczywiście — także Wisłą. Fot. Tesz

ludzie, mury, obyczaje

JERZY JERZMANOWSKI

GALANTERIA, FUTRA i MANUFAKTURA

Przy ulicy Sienkiewicza na wprost okien cukierni Smoleńskiego mieścił się — w okresie międzywojennym — sklep Róży Kestenberg, spełniając rolę galluxu. W latach dwudziestych właścicielka zmieniła nazwisko na Wallsch, wychodząc za mąż po owdowieniu. Drugim mężem został wiedeńczyk, zrobiony pod aktora Menjou.

Był to sklep najszerszego wyboru konfekcji męskiej i damskiej świetnie prowadzony, pozwalający kieleckim elegantkom ubierać się najlepiej, bez opuszczania miasta. Chyba tylko rozgrymaszona pani Hanka Renowicka — z powieści Mostowicza — potrafiłaby kapryśić, że modele nie paryskie. Import sklepu pochodził w całości z Wiednia. Wysokogatunkowy towar dobierano z wielkim smakiem, gdyż szykowna kupcowa sama się doskonale ubierała, a zakupów dokonywał mąż w rodzinnym Wiedniu.

Rodzaj prowadzonego asortymentu podnosił znaczenie fachowych porad właścicielki, czy chodziło o dobór swetra do cery nabywczyni, czy jakąś osobliwą parasolkę lub kajzery niezrównanej cienkości w czasach nie znających nylonów na kobiecych nogach. Klientki czyniąc zakupy, posługiwały się tedy gustem kierowniczki firmy z absolutną pewnością, że sprawunek mogą pokazywać jako zakupiony w Warszawie czy nawet wprost w Wiedniu. Wallschowa nie informowała nigdy na przykład pani doktorowej, co w sklepie wybrała jej przyjaciółka, żona pułkownika. Smakiem pryncypałowej kierowali się i mężczyźni, gdy chodziło o zakup prezentu, nie zawsze na domowy użytek.

Wyłącznie jedyny raz dokwiaciona kupcowa popełniła fatalne faux pas. Wobec obaw wyrażonych przez klientkę czy kajzery (tak drogie), są na pewno oryginalne — wypowiedziała się:

— Ależ pani generałowo, pochodzą przecież z transportu, z którego mąż brał ostatnio trzy pary. — Błąd był oczywisty, ale przegadanie się pani Wallsch nie wyrządziło szkody renomie przedsiębiorstwa — jedynie powtarzano historię jako strakcyjną anegdotę. Więcej kłopotu — mimo rangi miał podobno mąż, który kajzerów nie doniósł do domu.

Sklep wypełniały nie tylko zagraniczne artykuły. Sprzedawane tutaj koszule firmy „Opus" wytrzymywały porównanie z bielizną wiedeńską, zadowalając najwybredniejszych. Były borsalina, złe wzdragającym się z placeniem za nakrycie głowy osiemdziesięciu złotych — służono krajowym hółkami produkowanymi w Skoczowie (40 zł sztuka).

Specjalnością sklepu była sprzedaż unikatów. Jeden płaszcz burberry, jedyna para wyjątkowych spinek czy choćby pojedynczy krawat. Okazja niepowtarzalna, po wysokiej cenie, zdobycz ostatniej zagranicznej podróży szefa firmy. Bystry obserwator mógł się dopatrzeć reklamowego chwytu, skoro okazję powtarzano. Nigdy zaraz. Wcześniej — o ile zakup wywoził z miasta przyjezdny nabywca.

Czy ganić podobne pociągnięcia? Były zgrane z atmosferą wytwornego magazynu, prowadzonego na poziomie niektórych snobistycznych sklepów stolicy.

W przedwojennych Kielcach usługi kuśnierskie przedstawiały się raczej licho. Czołowym reprezentantem tego rzemiosła był kuśnierz Lerer, natomiast handel futrami, blamami futer i skórami zmonopolizowała rodzina Balickich w swych tekstylnych sklepach. Mimo wszystko kuśnierstwo w porównaniu do krawiectwa — wypadało słabo. Dlatego zakupy z tej dziedziny robiono w Warszawie i Krakowie. Przypomnę z tej racji obrazek kupna futra poza Kielcami, któremu przypadkowo świadkowałem.

Późniejszy adwokat, pełnomocnik milionerów Nowaków, Stanisław Styczeń był wówczas sądowym asesorem, rdzennie polskiego, robotniczego pochodzenia, ale obdarzony wybitnie handlową głową, kiedy mu to warzyszyłem w 1933 roku w Warszawie podczas charakterystycznej transakcji. Kalendarzowo był początek czerwca, z nieba lał się żar, a brana futrzana pogrążona była w ćnie sezonowej stagnacji. Pogłębiały ją trudności gospodarcze roku u nas kończącego okres światowego kryzysu, który czarnym czwartkiem giełdy nowojorskiej otworzył piekło krachów i bankructw. Do Polski kryzys dotarł później, ale też później się skończył.

Do mrocznego sklepu przy ulicy Miodowej weszliśmy obaj, budząc z zadumy poważnego kupca z brodą. Zapewne w pierwszej chwili pomyślał, że chodzimy o informacyjną wizytę, jednak w lot zwęszył klientów, którzy rzeczywiście przyszli kupić. Rozmawialiśmy w trzech, lecz z czeluści składów zaplecza nadciągnęli w kolejności: syn, zięć, dwóch wnuków i bardzo elegancka ekspedientka. Rozpoczęto pokaz futer, a Styczeń — niby model — prezentował wobec mnie różne egzemplarze — oglądając się w trzyskrzydłowym lustrze. Minęły dwie godziny, nim pierwszy raz zapytał o cenę futra i to okazało się nie tego, które go zainteresowało. Dopiero nieco później doszedł do okrycia, o które mu chodziło. Były to cybety z ogromnym szalowym kołnierzem z lśniącej wydry, wpadającej w brąz. Leżały na nim jak ulał, lecz cena wynosiła 1300 złotych.

Wkrótce potem miałem zobaczyć kunsztowny targ, sztukę nigdy przeze mnie nie opanowaną. Nabywca obojętnie przyjął do wiadomości podaną mu cenę i powrócił do innych futer, na pozór nimi właśnie całkowicie zaabsorbowany. Wróciwszy wreszcie jeszcze raz do cybetów wyraził chęć zapłacenia za nie 400 złotych. Trudno opowiedzieć burzę, jaką tym wywołał. Obsada sklepu krzyczała jednocześnie, a przodowała elegancka subiektka. A przecież nie minęła godzina, strony ustaliły zapłatę na 650 złotych. Okazało się przecież, że dzień niespodziane nie skończył się jeszcze.

Styczeń wydobył z wypchanego portfela sześć nowiutkich banknotów po 100 złotych i jedną pięćdziesiątkę. Zdało się pewne, że wszystko wręczy kupcowi, kiedy nagle się rozmyślił, oświadczając, że cena w dalszym ciągu jest zbyt wysoka. Krzyk handlowców tym wywołany przewyższał poprzednią awanturę. Subiektka omal nie zemdlała, wstrząśnięta brakiem słowa u klienta. Ostatecznie kupił sprawunek za 630 złotych.

Kiedy opuszczaliśmy sklep zgotowano nam owacyjne pożegnanie. Młoda subiektka gorąco prosiła Stycznia, by — jako tak miły klient — nie zapominał o ulicy Miodowej i firmie zawsze gotowej do usług na jego rzecz.

Jednopiętrowa kamienica ka w kieleckim Rynku rozbudowana w głąb posesji, mieściła handel manufakturą i wszelkimi tekstyliami, należący do małżonków Eisenbergów.

Największy poddaw budziła — obsługa. Starzy Eisenbergowie, córka Taumanowa i jej mąż oraz daleka kuzynka, stara panna, sługa i cerber przedsiębiorstwa. Pięć osób obsługujących potwory młyna szczególnego wysiłku wymagający we wtorki i piątki, dni targowe, jarmarki rozlewające się u samych drzwi sklepu (póki ich nie usunięto z Rynku). Ten fenomenalny stosunek do interesanta, nigdy nie okazane zmęczenie sprzedawców, manifestowana rzadkość, że klient trafił do ich sklepu, nawet gdy go poprzedziło czterdziestu innych. Rzetelna uciecha sprzedawców, skoro klientkę zainteresowała kolorowa sztuka ułożona pod samym pułapem i absolutny brak zniechęcenia, gdy dragnięty na dół towar okazał się nie tak ładny, jakim go sobie klientka wyobraziła. Wielka umiejętność handlu, której nie da się nauczyć na najlepszym kursie. Trzeba ją wyssać z mlekiem matki, nasączyć dociekliwymi oczyma dziecka na z kawałkiem chałwy w ręku, wcięnięte w kąt sklepu patrzy i... widzi.

trzy łyki filatelistyki

1. I OGÓLNOPOLSKA MŁODZIEŻOWA WYSTAWA FILATELISTYCZNA „PRL — XXV"

Pierwszym w powojennej historii polskiego zorganizowanego ruchu filatelistycznego aktem Honorującym rozwój młodzieżowego ruchu filatelistycznego jest wystawa, która otwarta swe podwoje w Lublinie, pierwszej stolicy odrodzonej przed 25 laty Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wystawa ta, której otwarcia, w towarzystwie władz naczelnych Zarządu Głównego PZF, dokonał minister łączności, Edward Kowalczyk, ma duże i doniosłe znaczenie dla PZF. Wskazuje ona bowiem, że młodzi filatelaiści — uczestnicy szkolnych kół filatelistycznych nie są z ruchem filatelistycznym związani jedynie formalnie, lecz, że podejmują wraz ze swymi opiekunami cały szereg akcji, nieograndowych, którymi żyje cały związek.

Polski Związek Filatelistów zrzesza w dwóch tysiącach kół ponad 53 tysiące młodych filatelistów. Wielu z nich — rzecz jasna jeszcze nie wszystkim — ekspozycja lubelska stworzyła szansę oddzielnego pokazania swego dorobku, stworzyła możliwość obiektywnej oceny wartości ich pracy zbierackiej i wysiłku, jaki został włożony w opracowanie zbiorów.

Zbiory młodzieżowe były wystawiane łącznie z eksponatami od osób dorosłych, a przez to często traciły one w oczach postronnych na swej wymowie i wartości. Oddzielna, i jak już wspomniałem, pierwsza Ogólnopolska Młodzieżowa Wystawa Filatelistyczna, stworzyła młodym filatelistom nowe szanse bezstronnej oceny.

Dobrze byłoby także, aby wystawa ta przeniosła niezbędnych już, działaczy dorosłych, żeby zajrzeli na wystawie do młodych w naszym ruchu i wiele szerzej, a nie tylko pod kątem samej filatelistyki.

W wystawie bierze udział 319 wystawców, wśród nich 12 z NRD i 3 z ZSRR. Ogółem zbiory zajmują 874 ramy. Obok znaczków wystawiane są filumenistyczne zbiory młodzieżowe. Niestety, piszemy o tym z przykrością, na wystawie tej nie znalazł się ani jeden zbiór młodzieżowy z naszego województwa. Zawinili tu zarówno organizatorzy wystawy, którzy początkowo „zapomnieli" o karach zgłaszać dla naszych uczestników, jak i nie dość sprężyste podejrzia do wyzwania Komisji Młodzieżowej Oddziału PZF.

Pomyła taka zdarzyła się i w tym, że w województwie kielecko [illegible] skupiono [illegible] kilka tysięcy młodych filatelistów, a na opracowania zbiorów na wystawy jest w stadium początkowym. Kierunek działania Komisji Młodzieżowej Oddziału PZF w Kielcach jest więc chyba jasny. Biała plama na I Ogólnopolskiej Młodzieżowej Wystawie Filatelistycznej będzie chyba jedną i ostatnią.

Równocześnie z wystawą młodzieżową czynna jest w Lublinie wystawa filatelistyczna pod nazwą „PRL — XXV" zawierająca zbiory filatelistów dorosłych, a wśród nich, w salonie honorowym eksponowane są zbiory najwybitniejszych polskich filatelistów.

I w tej wystawie nie dopisali filateliści Kielecczyzny. Jedyny zbiór, jaki reprezentuje Kielecczyznę — to zbiór kol. Zbigniewa Twardowskiego z Radomia zatytułowany „Kultura i sztuka polska na znaczkach pocztowych".

2. CIEKAWOSTKI.

● *Na wystawie młodzieżowej w Lublinie w dziale tematycznym godne uwagi są zbiory Andrzeja z Szamotuł na młodzieżu w historii i dzieci dzisiejszej epoki. Oto dla przykładu kilka tematów z eksponowanych zbiorów: Wódz-Lech z Polski na gwiazdach całego świata. Krzyżowcy Tysiąclecia. PRL w 25 lecie, osiągnięcia PRL w 25-lecie. Polska herodyd — miejsce, Morze Żuławy Zachodnie i Jeziorny. Historia II wojny światowej, Szlak bojowy Ludowego Wojska Polskiego, Od Westerplatte do Berlina, Dzieje oręża polskiego, Strofy Wacława i męczeństwo narodu polskiego, Nigdy więcej wojny, Przeciwko faszyzmowi, Nie zapomnimy, Walka narodów o wyzwolenie, Polski ruch robotniczy, Partia na czele narodu, Lenin na znaczku, Lenin i rewolucja, Wielka Rewolucja Październikowa, Postać Kraju Rad, Przyjaźń i współpraca w międzynarodzie, Wietnam w pracy i walce itp.*

● *Spośród 319 zbiorów młodzieżowych eksponowanych na wystawie w Lublinie, Budapeszt reprezentuje 24 zbiorów, Gdańsk — 4, Gorzów — 13, Katowice — 20, Koszalin — 8, Lublin — 25, Łódź — 8, Olsztyn — 17, Opole — 14, Poznań — 23, Rzeszów — 22, Tarnów — 5, Toruń — 3, Szczecin — 18, Warszawa — 23, Wrocław — 24.*

3. NOWOŚCI

● *W Czechosłowacji ukazała się 8 znaczków poświęconych „Siedem instytucji naukowych i kulturalnych". Przedstawiono na nich: Uniwersytet w Brnie, Uniwersytet w Bratysławie, Konserwatorium w Brnie, Słowacki Teatr Narodowy, Słowacka Zgromadzenie Narodowe i gimnazjum Zniewskiego. Ukazała się także seria z 3 znaczków pt. „Odkrycia samochodu".*

● *12 kwietnia w ZSRR obchodzono „Dzień kosmonautyki". W związku z tym poczta tego kraju wydała 3 znaczki z bloku, przedstawiono na nich rakietę nośną i statek na starcie, akademika S. P. Korolewa, statek kosmiczny Sondarś, a na bloczku statek kosmiczny Wostok-3.* KAS

PRZYGODA Z PSEM

ERWIN LÁZÁR

Barutsek promieniując beztroską we solońcu udał się na spacer w górę ulicy Ménesi. Biegał po jezdni to tu, to tam, czasami przystawał na chwilę, wywalał długi, jeszcze cieńka dyszał, i z przechylową w bok głową obserwował siedzące na ogrodzeniu wróble. A kiedy mu się to znudziło, biegł dalej zatrzymując się tylko od czasu do czasu w miejscu solonowej porze przy słupach ulicznych latarń, to znów obwąchiwał przechodniów budząc wśród nich zrozumiałe poruszenie. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie beztroską opuszczonego. Nie miał nie tylko kołnierza, ale nawet żadnej obroży.

Muszę zaznaczyć, że wówczas jeszcze nie nazywał się Barutsek. Nie miał jeszcze wtedy żadnego imienia.

Pogrzeni byliśmy właśnie w dyskusji, kiedy podbiegł do nas i zaczął nas obwąchiwać z jakąś zachłanną ciekawością.

– No, spływaj! – powiedziałem, i groźnym ruchem nogi próbowałem go odpędzić.

Pies pomachał tylko trochę ogonem i przysiadł na ziemi kilka kroków od nas.

– Ma piękne oczy.

– Ile też może żreć takie ścierwo?

Barutsek jak gdyby zrozumiał, że padło w tej chwili kilka bezpośrednich słów o jego wyzwieniu, usiadł na tylnych łapach i obserwował nas z wyczekiwaniem.

– Hej, koleś, jak jesteś głodny, to pod zły adres trafiłeś.

Barutsek, nie wiadomo nawet dlaczego, ucieszył się, i siedząc nadal na tylnych łapach, zaczął wesoło machać ogonem.

– No, w drogę.

Udaliśmy się w kierunku domu studenckiego. Barutsek rozczarowany zatrzymał się, po czym podniósłszy przednie łapy, patrzył za nami ze smutkiem w oczach.

Ernö spojrzał do tyłu. Gwizdnął.

Barutsek zerwał się z miejsca i niczym strzała znalazł się przy nas, z radości obtańczył nas naokoło, Tibiemu oblizał rękę, mnie przyjaźnie ugryzł w nogę.

– No, wolnego, staruszku.

– Fajny piesek, co?

– Uhm.

– Zatrzymajmy go. I tak w akademiku nie ma psa.

– Ale bydlak, wydaje mi się, to jest.

– Tylko nie mądrkuj, hyclu.

Barutsek niewiele obchodziła nasza dyskusja, czuł się już ostatecznie związany z naszą grupą.

– Boże, cóż za cudny piesek – zatrzymała się obok Bartuska kobieta o wyglądzie pawia, na której twarzy, pokrytej warstwą szminki, pojawił się wyraz uwielbienia dla psów.

– Cry to panów piesek?

– Naturalnie, nasz. Nie zna go pani? To słynny Nero.

Kobieta była wyraźnie zdezorientowana. My też. Ale Tibi ciągnął dalej:

– Nawet gazety o nim pisały. Wyratował z Dunaju tonące dziecko. Przyznano mu za to wysokie odznaczenie państwowe.

Dzięki temu Bartusek w sposób definitywny przyjęczętował swoją przynależność do nas, choć w czasie powyższej rozmowy zajęty był obsadzaniem coraz to nowych drzew.

– Połknęła haczyk.

– Taka uwierzy we wszystko, z wyjątkiem prawdy.

– Nero! Zachowuj się przyzwoicie, bądź co bądź jesteś posiadaczem odznaczenia państwowego.

Bartusek posłusznie znalazł się za naszymi plecami.

– Inteligentne zwierzę.

– Mowa! Przecież to n a s z pies.

Przed wejściem do akademika trochę bezradnie spojrzeliśmy po sobie.

– No i co dalej?

– Zakwaterujemy go w pokoju kierownika.

– Niezła myśl.

– Nie, najpierw damy mu coś do żarcia, a potem go przepędzimy.

– A może w ogóle nie będzie chciał wejść?

Tę ostatnią niesmiałą uwagę zrobiłem ja, co świadczyło jedynie o tym, że z gruntu miałem mylne rozeznanie o Bartusku, bo mimo tych obaw wszedł do środka. Wszedł! Przeskakiwał po cztery stopnie na raz. Na korytarzu przy narożnikach przystawał, czekał na nas, po czym długimi skokami znowu pędził na górę. Pierwszy się wcisnął do pokoju. Ubiegł go naokoło, obwąchał wszystkie łóżka, wszedł pod stół, wyjrzał przez okno, a kiedy sparzył się w nos od ciepłego kaloryfera, przysiadł w miejscu.

– Głodny. Macie coś do żarcia?

Na naszych twarzach pojawił się smutny uśmiech.

– No, tak, kochany Nero, nauczysz się tu przymierać głodem.

Bartusek odmrdnął tylko na to ogonem.

– Biedaczysko, nie rozumie.

Ernö zamyślił się na chwilę, po czym rzekł:

– Ja mam jakiś kawałek chleba.

– Może macie coś do żarcia dla niego?

– Wasz?

– Ukradliście?

– Gdzie tam, mój stary przysyła przez niego pilne listy z Oroshása..

– I przynosi?

– Pewnie, że przynosi. W ciągu godziny jest na miejscu.

– Coś podobnego!

Znalazło się trochę jedzenia, szperka, jakieś kości, Bartusek hałaśliwie uczłował. W przeciągu pół godziny wiedział o jego istnieniu cały akademik. On zaś tymczasem urodawił się wygodnie na jednym z naszych łóżek, ledwośmy go spędzili. Później pożyczyliśmy dla niego jakiś worek, żeby miał na czym leżeć.

Pukanie do drzwi. Był to Karlszol, student pierwszego roku hungarystyki i historii.

– Przyniosłem trochę słoniny dla psa.

– Dzięki. Połóż ją na stole. Stary tylko nie próbuj mu dawać. On je tylko smażoną słoniną. Ma wrzód żołądka.

– Pies?

– Tak, tak, pies, a nie mój dziadek.

– Jaki taki wartościowy, że był nawet opiekowany. A Angielski Krajowy Związek Hodowców Psów dawał za niego tysiąc funtów... Połóż słoninę na stole, stary, połóż.

– Dobrze by było, gdybyś też skombinował trochę chleba, bo sama nie bardzo mu smakuje.

– Wybredny.

–Nie głoszcz go, nie lubi tego. No, co, przyniesiesz chleba?

Karlszol chleb przyniósł. Zjedliśmy. Bartusek obserwował nas przełykając ślinę.

– No, stary, już dość się natoiłeś, a poza tym nie tknąłeś chleba. Legnij sobie tylko na swoje miejsce.

– Chłopaki, właściwie to on nawet nie ma imienia.

– Jak to nie ma, a Nero?

– Niedobre. Co drugi pies nazywa się Nero.

– Ten ma nawet odznaczenie państwowe.

– I przynosi także listy z Oroshása.

Roześmieliśmy się, i z dumą spojrzeliśmy na naszego psa, który w najlepsze zajęty był drapaniem się.

– No, no. Pchły zatrzymaj dla siebie.

– Nazwijmy go Absalom.

– Też coś!

Energiczne pukanie. W drzwiach stał z lekka nastroszony administrator.

– Panowie przyprowadzili do akademika psa. No, tak... Całe szczęście jeszcze, że nie załatwcie tu ogrodu zoologicznego.

– Myśmy go nie przyprowadzili, sam przyszedł za nami.

– Co ta znaczy: sam przyszedł?!

– Zwyczajnie, przyszedł, i już. Nie można go było odpędzić. Skamlał.

– Tylko bez kawałów.

– Proszę spróbować, Absalom!

– Co takiego?

– Powiedziałem: Absalom. Takie ma imię.

– Aha.

– No, proszę spróbować go przepędzić.

Administrator przestraszył się trochę. Zrobił kilka kroków do tyłu.

– W przeciągu pół godziny proszę usunąć tego psa. Akademik to nie cyrk. W przeciwnym razie będzie źle z wami. Prawda to, jak prawdą jest, że nazywam się Gézo Bartusek.

Wyszedł.

– No, stary, klops.

– Szef cię nie kocha.

– Nazwijmy go Bartusek. Gáza Bartusek.

– Niezła. Bartusek, do nogi!

– Co pewnym czasie zjawiła się rada mieszkańców.

– Towarzysz administrator powiedział, że w waszym pokoju jest pies. Chłopaki, tak nie wolno, przecież to akademik – mówił Gebauer, przewodniczący rady mieszkańców, kandydat na biurokratę o lekko zaokrąglającym brzuszku. Następnie spojrzał na Bartuska, i żeby udowodnić, że jednak jest przyjacielem zwierząt, ale akademik to akademik, odezwał się następującymi słowy:

– No, pieseczku, chodź tu.

– Jak mówisz do niego?!

– Co to znaczy: jak mówię?

– Po pierwsze nie pilef z nim bruderszaftu, po drugie zaś on ma swoją imię.

– Nie wydumiaj się.

– Bartusek, proszę się nie drapać w obecności rady mieszkańców. Co za manery!? Niech się pan poleży i leży spokojnie.

– Do psa mówicie per pani?

– Naturalnie. A jak mamy mówić?

– Jak on się wabi?

– Bartusek. Gézo Bartusek.

– To bezczelność nazwać psa imieniem administratora.

– A kto go tak nazwał?

– Moglibyście mieć trochę więcej szacunku.

– Zamknij jadaczkę, nie my go tak nazwaliśmy.

– No to wobec tego czego wołacie na niego Bartusek?

– Wszedł do naszego pokoju tędy, el, tymi drzwiami, i przedstawił się „Jestem Gézo Bartusek".

– On się dopiero zna na manierach.

– Pokazał nam nawet wyciąg z aktu urodzenia.

– No dość było cyrku, zabierać go stąd!

– Panie Bartusek, proszę podziękować redzie mieszkańców. Co pan rozdziawia gębę.

– Idioci.

Psa musieliśmy jednak usunąć. Wyprowadziliśmy go na Górę Gellerta, zgodnie z uprzednio ustalonym planem zaczęliśmy się skradać w czterech różnych kierunkach. Bartusek zaś rzucił smy kamień, i kiedy on pojęcia za nim, my puściliśmy się biegiem w kierunku domu. Spokaliśmy się dopiero na dole na ulicy Ménesi.

– Biedne psisko.

– Szkoda go

– Tak będzie lepiej dla niego

– Szkoda, przecież mogliśmy go zabrać na wykłady.

Na schodach akademika siedział jakiś pies. Kiedy nas tylko spostrzegł, podbiegł ku nam wesoło merdając ogonem.

Był to Bartusek.

Tej nocy spał w naszym pokoju. Co pół godziny obiegał go naokoło, słychać było tylko stukot jego ostrych pazurów. O świcie nawet poszczekiwał trochę, i po kolei nas dokładnie obwąchał.

Przed południem poszedł z nami na uniwersytet.

Tego dnia jadł obiad w naszej stołówce. Wzięliśmy go też na wykład z językoznawstwa, i kiedy była mowa o morfemach rdzeniowych, zaszczekał. Na szczęście wykładowca był fonologiem.

Bartusek został u nas jeszcze przez dwa dni. Pożar wszystko, co tylko było do pożarcia, nie pozwalał nam po nocach spać, i na dodatek śmiertelnie przestraszył jedną ze sprzątaczek. Jego dalszy pobyt w akademiku stał się ostatecznie przesądzony. Chcieliśmy mu nawet skleić jakąś budę na podwórku, ale pomysł nasz w żaden sposób nie przypadł mu do gustu. Za nic w świecie nie chciał zostać w domu, zawsze wymykał się za nami. Jeszcze na dobitkę zżerał nasze sobotnie kolacje. Mieliśmy o to lekki żal do niego.

– To nie było ładnie z pana strony, panie Bartusek – mawialiśmy wówczas z niejakim wyrzutem w głosie.

A Bartusek w odpowiedzi na to jak gdyby tylko szczerzył zęby.

Dzień w dzień czytaliśmy od deski do deski gazety, ale nikt jakoś nie szukał wilczura.

Któregoś dnia szliśmy z nim ulicą.

– Bartusek, proszę się tylko nie spoufalać, niech pan spływa, bo kopnę.

– Może do sprzedania ten piękny pies? Ja zwróci się do nas wysoki mężczyzna w kasaki luzu.

– Rzadko udany okaz, proszę pana.

– Kupiłbym go.

– No to...

– Ile panowie żądają?

– Zdobył złoty medal na wystawie psów. Trzeowany, a nie jakiś kundel – Bartusek pod stanął z boku i podejrzliwie nas obserwował.

Mężczyzna dał za niego sto forintów.. Na szyję założyliśmy mu sznurek.

– Jakie ma imię?

– Gézo Bartusek.

–Chodzi mi o imię psa.

– No, właśnie, tak się nazywa.

Spojrzał na nas zdumiony.

– Jak?

– Może też pan wołać na niego inaczej.

– No, chodź, Nero!

Pies szarpał sznurek, skowyczał. Patrzał za nami ze smutkiem. Odwróciliśmy się, i długo nie mieliśmy odwagi spojrzeć na siebie.

Z węgierskiego przełożył
JAN ZIMIERSKI

Erwin Lazár, ur. 3 maja 1936 roku w Budapeszcie, studiuje najpierw dziennikarstwo, później filologią węgierską na Uniwersytecie Budapeszteńskim. Od roku 1959 pracuje w dzienniku „Dunantúli Napló" w Pecs (Pecz). Swoje nowele, opowiadania i felietony drukuje w ramach takich czasopism, jak „Jelenkor", „Kortárs" i „Napjaink". Trzy lata temu przeniósł się do Budapesztu, gdzie pracuje w tygodniku literackim „Élet és Irodalom" („Życie i Literatura") na stanowisku redaktora.

Dotychczas ogłosił drukiem trzy utwory. W druku znajduje się książka dla dzieci zatytułowana A nagy-ravegy fekete-ingé (Dumny kos).

Opowiadania Lazora to nowoczesna proza z pogranicza poezji, pełna liryzmu, niedomówień i ulotnych wspomnień z dzieciństwa jak również głębokiej zadumy nad ludzkim losem. Z tomu Chudy czwartek wyjątem opowiadanie pt. Przygoda z psem.

Lazar jest wielkim przyjacielem Polski i naszej kultury. Już za czasów uniwersyteckich zapisał się na lektorat języka polskiego przy Katedrze Slawistyki Uniwersytetu Budapeszteńskiego. Ostatnio przebywał w Polsce na półrocznym stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki dla młodych pisarzy i tłumaczy literatury polskiej. Podróżował też po Kieleczczyźnie jako gość naszej redakcji. J. Z.

z notatek reportera

U miotłe i zbójeckiej podkowie

1

Opowiadają, że gdy w Dawnych czasach miesz- kał na Szafrańcu zmy- dał się tu najlepszy ze świnie, postanowili wykorzystać wiadomość o mającym nastąpić rozwarciu kopca zwanego Szafrańskim i przenieść się do nowego miejsca, gdzie widoczne miało być coś w rodzaju [illegible] Kiedy więc zabrali się [illegible] do dobitki, a potem [illegible] pogrzebali w [illegible] kilometry [illegible] bogiełowe łaki, pod Czarną Łąką.

Kopiec owszem, znaleźli [illegible] wartu, ale równie [illegible] wielki, wzdłużnawiany się ze środka [illegible] zapotuł, czy nie [illegible] wszedł, zrzepał zabrać. Pa- [illegible] więc zostawiwszy się myśleć, przenieśli rzeczy, wreszcie ktoś bystrzejszy i zapewne rozwiązany w porządkach ustalił — miotła. Nie mają miotły.

Zawrócili biegiem do miasteczka po miotłę, potem biegiem z miotłą pod kopiec, ale ten zamknął się już był, trwał w milczeniu i ani myślał o przyjęciu w swoje wnętrze zdyszanego tłumu, z czego obok wielu innych, mógłby także wynikać mowel, że bardzo nieprawdopodobne są te stare opowieści. Takie sądy w wypadku szczekociańskiego zamczyska byłyby jednak oczywistym błędem, jak się będziemy mieli okazję za chwilę przekonać.

2.

Ozamczysku, owym kopcu wyrosłym pośród niskich łąk, otoczonym wokół wyraźnymi śladami jos z wałów ochronnych, który — wiemy dziś bez wątpienia — jest autentycznym grodziskiem, kraną w okolicy tuną legendy, związane przeważnie z Szafrańcami, znanym dobrze z historii rodem rycerzy rozbójników, krewniaków rabujących kupieckie karawany na przebiegających tu udzieł w pobliżu piastowskich szlaków handlowych z Torunia do Krakowa. Legendy o szlacheckich zbójach, którzy ponoć wspomagali biednych, w myśl zasady, że inna historia zbyłaciła nie mogła się obyć bez Janosikowa.

Jest więc przedziwna nowość o bezdzietnym chłopu i [illegible] Sołtowicu, którzy [illegible] zawieszony gdzieś wśród muchów podszepnął wnuczą raz, że będzie miał potomka, gdy noca uderzy po krzyżu żelaznym żrądłem dzwoną dwnię, co kawał uczuiło. Czy znalazł przy niej wiecznie pełkiego chłopca, a ten na trzeci dzień, jak to w wielu ludowych podkach się pow- tarza, jadł już zur z ziemniaki i po tygodniu był pa- [illegible] chłopskiem, które to zdarzenie utrwaliło się zresztą w używanym do dziś dosadnym określeniu dobrze zbudowanego mężczyzny. Jest podane o innym Sołtaniu, którego niektórzy na „[illegible] Waltgora. Ten grasował na drogach, palił dwory, bił osady i wszystko uchodziło mu bezkarnie. Był nieuchwytny. Zawsze potrafił uciec, zniknąć, bo ślady odwrotnie przybitych podków jego konia wprowadzały ścigających w błąd.

3.

Kiedy Antoni Pieczykura, właściciel łąki, na której znajduje się grodzisko, opowiadał o Waltgorze, co konia kuł odwrotnie, archeolog magister Zygmunt Pyzik, uśmiechał się z powątpiewaniem:

— Kuł? Być może, być może. Tylko jeszcześmy tak starej podkowy w Kieleczczyźnie nie znaleźli.

I co powiecie? Następnego bodaj dnia, w wykopie czyli stanowisku numer jeden, przecinającym nasyp grodziska z boku na długości dwudziestu czterech i szerokości dwóch i pół metra — znalazł podkowę. Słowo daję. Obwinięty grubo warstwą rdzy podkowa, do której przyczepił się włómek glinianego naczynia z XIII wieku, pięknie ją więc — jak powiadają archeolo- [illegible] datujący, świadczy, że podkowa istnieje jest bardzo stara, pochodzi z czasów [illegible], a więc być może należały do rozbójnika Waltnóra. Stare opowieści nie są aż tak nieprawdopodobne jakby się nam zwydawało.

To a kamyki, przypomnieli, że istnieli, był — też wnioski. Na metr pod ziemią znalazły się grudy żużlu, robiono tu więc kiedyś wytopy z rudy darniowej, a jeśli robiono wytopy to i kuto. Miejscowej rozbity może zatem być wyprzedany przez magistra Pyzika [illegible] nożyk, kordzik, czy jak go się tam ongiś nazywało — mizerykordia, na i prawie wysokiego w kształcie wydziło dwudzielne z kółeczkami przy obu kółkach.

Skarby. Co prawda nie takie, jak je sobie wyobrażali ci, którzy na długo przed archeologami ryli w grodzisku i dłubali nory, ale przecież skarby. Choćby właśnie ta pierwsza znaleziona w Kieleczczyźnie podkowa pochodząca gdzieś z XIII wieku.

4.

Magister Pyzik ma szczęśliwą rękę. Dopiero co kilka lat temu odkrył średniowieczny skład kafli garncowych w Siekliskach, jeden z tych, które się chyba [illegible] uczanii co ambitniejszym archeologom, a już w Szczekocinach ma wcale interesujące znaleźnika.

Przyjechał tu na zlecenie wojewódzkiego konserwatora, prowadzić tak zwane badania ratowicze, bo maluczka a po grodzisku nie byłoby ani śladu. Nadwyrężono go w czasie robót melioracyjnych prowadzonych tu jeszcze przed wojną, nie dawali spokoju po szukiwacze skarbów wabieni legendami o Szafrańcach i ich bogatych łupach. Archeolog na złoto nie liczy. Kopie, żeby dowiedzieć się co było przedtem. Trzeba przecież wiedzieć, iż żyliśmy, aby wiedzieć jak żyć.

Szczekociński koniec jest na zostałości po prastie stożkowym, jakich kilka było na przełomie XIII i XIV wieku w dzielnicym województwie kieleckim. W tym wzniesieniu Zygmunt Pyzik nie ma wątpliwości. Na temat grodu pod Szczekocinami brak wprawdzie w historii pisanej jakich kolwiek wzmianek, ale grodzisko kształtem kopca zbudowanego na planie koła, otoczonego szeroką na dziesięć metrów fosą, ma swoje odpowiedniki w grodziskach odkrytych w powiecie białobrzeskim. Jest więc punkt odniesienia. Wiadomo — takie grody powstawały w burzliwych czasach Polski dzielnicowej, w rejonach pogranicznych, lub wzdłuż ważnych szlaków handlowych. A ten? Pilnował przeprawy na Pilicy, strzegł przebiegającej gdzieś w pobliżu drogi z Torunia do Krakowa, był komorą celną, czy rzeczywiście gniazdem rozbójników?

Na razie trudno odpowiedzieć. Na razie magister Pyzik, detektywo przeszłości — szuka, wyjmuje z ziemi porozwalane żelastwo, ułamki glinianych naczyń, zwierzęce, połupane podłużne kości, co świadczy, że wybierano z nich do jedzenia tuk i co po ekspertyzie, ustaleniu jakich to zwierząt szczątki, pozwoli określić czy mieszkańcy grodu wyłącznie polowali, jak wska zywałyby na to kły dzika czy też mieli i własną hodowlę. Po nitce do kłębka. Bo na razie nic nie wiadomo ponadto, że był gród i sprawdziły się w pewnym sensie szczekocińskie legendy.

Nie wszystkie, pozostała ta z miotłą, choć i dla niej mam swoje amatorskie rozwiązanie. Samo miasteczko grodzisko, nazywają ludzie „zamczyskiem", zaś pewne miejsce bliżej lasu „podzamczem", co wskazywałoby, że tam była kiedyś właściwa osada. Przypuszczam więc, że do grodu składającego się z jednej, jak to stwierdził mistrz Pyzik, bo dowli uciekali mieszkańcy pod grodzia w razie niebezpieczeństwa i że kiedyś zapomniawszy jakiegoś głupstwa zawrócili do osady, aby po powrocie zastać zamknięte bramy.

Magister Pyzik w to nie uwierzy i będzie miał rację, toż to przecież amatorskie spekulacje. Ale Antoni Pieczykura mówił prawdę.

ZBIGNIEW NOSAL

„Archeolog na złoto nie liczy..."

Fot. Andrzej Wiszniewski

Przeprasjamy PRENAMENT

PO LĄDOWANIU NA KSIĘŻYCU

Starszy już człowiek, rolnik z pow. bucheiego oglądał z zainteresowaniem transmisję telewizyjną z lądowania pierwszego człowieka na Księżycu. Po zakończeniu zapalił papierosa i filozoficznie stwierdził:

— No to teraz Pan Bóg już niepotrzebny.

(wk)

WYMIANA GRZECZNOŚCI

W pewnej niewielkiej instytucji składającej się z kierownika i jednoosobowego personelu doszło do całego splotu wydarzeń, polegających na wzajemnym wyświadczaniu sobie drobnych uprzejmości. Uprzejme „kierownictwo" pożyczyło personelowi 500 zetów polskich i udało się na urlop. Odpoczynek okazał się kosztowny i kierownik uprzejmie zadepeszował do pracownika o zwrot długu. Uprzejmy apel nie spotkał się ze zrozumieniem, wówczas nastąpił kontakt telefoniczny, podczas którego osłabiony finansowo kierownik posłużył się tzw. „publicznym słowem". Pracownik wreszcie wypełnił przekaz, ale z dopiskiem „na rozpusty". Na tym skończyła się wymiana uprzejmości.

(bar)

TEN TRZECI

Właściciela samochodu osobowego, który przełamał zaporę na przejeździe kolejowym w pow. jędrzejowskim (miał człowiek szczęście: pociąg jeszcze nie nadjechał) zapytano, jak to się stało, że nie zauważył zamkniętego przejazdu.

— To było tak — tłumaczył. — Uradziliśmy z synem, że — aby nie wjechać pod pociąg, jak to się ostatnio często słyszy — jeden z nas będzie patrzył w lewo, a drugi w prawo. No i tak patrzyliśmy... I zapomnieliśmy, że nie mamy trzeciego do patrzenia na wprost...

(tesz)

HUMANISTYCZNIE

Co roku 600 tysięcy telefonów to zestaw kolorach opuszcza Radomską Wytwórnię Telefonów. Pracują w kraju i za granicą, lekkie i pastelowe podbiły rynki. Tyle, że od jesieni bieżącego roku konstruktorzy i projektanci z RWT postanowili odstąpić od dotychczasowej praktyki nazywania poszczególnych modeli suchymi cyframi i literami. Okazało się, że miłej produkować coś, co ma ładną nazwę i oto narodził się model, od którego nazwy będą miały już nazwy kwiatów. Pierwszy ma nazwę od litery A — ASTER! Zasypcie więc nas „astrami"!

Ptr.

OTO JEST PYTANIE!

Muzeum Zegarów Słonecznych im. Przypkowskich w Jędrzejowie jest jednym z najciekawszych zakątków. Czas mija mierzony znuga cienia słonecznego. Wchodzą wycieczki, słuchają objaśnień, zdaje się, że rozumieją zasady działania zegarów. Dlatego jak rażący akord zabrzmiała to pytanie któregoś gościa: — Panie, jak tutaj trzeba uregulować zegarek!?

Ryp.

SAM

Do sklepu w Kielcach weszedł mężczyzna, wypił „płynny owoc" i powiedział do ekspedientki:

— Płacę! Ile mam, tyle dam!

Następnie położył na ladzie... 10 groszy. Gdy, mimo perswazji nie chciał dopłacić, ekspedientka zagroziła mu:

— Panie, bo wezwę milicję!

— Po co? Sam do nich pójdę!

I zanim zaszokowane panie za ladą zdołały się odezwać, wyszedł i zniknął w tłumie przechodniów.

(p)

Przeprasjamy

po powrocie załogi „Apollo-11" — po powrocie załogi „Apollo-11" —

technika lotów księżycowych

Którędy na Srebrny Glob?

Jednym z podstawowych problemów współczesnej technologii kosmicznej są zagadnienia napędu statków kosmicznych. Od wielkości siły ciągu rakiet nośnych zależy możliwość wyniesienia na orbitę okołoziemską, w kierunku Księżyca czy innych planet, określonego ładunku, który zabezpieczyłby realizację podejmowanej misji.

Problem ten szczególnie ostro zarysował się w chwili, kiedy specjaliści wzięli na warsztat problemy lotu człowieka na Księżyc. Zrodziło się wówczas kilka koncepcji urzeczywistnienia takiej wyprawy.

BEZPOŚREDNIO?

Jeden z wariantów księżycowej wyprawy przewidywał bezpośredni lot z Ziemi na Księżyc. Do jego realizacji niezbędna jednak była rakieta nośna o sile ciągu ponad 5,5 tys. ton. Przy dokładnej analizie tej wersji lotu okazało się, że pojazd taki miałby olbrzymie rozmiary, a jedną z poważnych trudności byłaby konieczność umieszczenia na powierzchni Księżyca całości urządzeń, które służyłyby do powrotu załogi ze Srebrnego Globu.

Podstawową jednak przyczyną, która spowodowała wykluczenie z programu amerykańskiego tej wersji lotu, była niemożliwość zbudowania rakiety nośnej o tak wielkiej sile ciągu, przy obecnym stanie technologii kosmicznej.

SPOTKANIA NA ORBICIE OKOŁOZIEMSKIEJ

W tej sytuacji zrodziła się wersja wysłania na bliskoziemską orbitę dwóch rakiet „Saturn-V" — jednej z trzyosobową załogą, drugiej zaś z zapasem paliwa. Ten kosmiczny „tankowiec" spotkałby się nad Ziemią z „Apollem", zaopatrzyłby w paliwo trzeci stopień i w ten sposób dostarczyłby siły napędowej niezbędnej do lądowania na Księżycu oraz powrotu z jego powierzchni.

Przy realizacji tego wariantu istniały jednak możliwości opóźnienia samego manewru, jak również niebezpieczeństwa związane z zetknięciem ponad Ziemią dwóch stosunkowo potężnych obiektów. Trudności dotyczyły także przetankowania paliwa w warunkach nieważkości oraz groźby eksplozji w wypadku, gdyby iskra trafiła na paliwo.

RENDEZ - VOUS DWÓCH RAKIET NA KSIĘŻYCU

Jeszcze inny wariant wyprawy księżycowej zakładał wysłanie dwóch rakiet na Księżyc. W jednej dotarłaby tam załoga, w drugiej — sprzęt potrzebny do eksploracji Księżyca oraz paliwo niezbędne do powrotu na Ziemię. Ale przy bliższej analizie i ten wariant został przez specjalistów zarzucony. Jego urzeczywistnienie wymagałoby także co najmniej dwóch startów z Ziemi, ale, co najistotniejsze, istniało ryzyko zbyt dalekiego od siebie lądowania obu pojazdów na Księżycu.

„PAJĄK" W ROLI KOSMICZNEJ TAKSÓWKI

Czwarta metoda realizacji lotu załogowego na Księżyc opierała się na koncepcji, iż nie jest konieczne lądowanie ciężkiego pojazdu „Apollo" na Księżycu. Jak wykazały bowiem obliczenia, rakieta „Saturn-V" o ciągu 3400 ton może go umieścić na orbicie okołoksiężycowej bez uzupełniania paliwa na orbicie wokółziemskiej.

I wówczas zrodził się pomysł małego pojazdu księżycowego, później ze względu na swój wygląd nazwanego „pająkiem", który odgrywa rolę swego rodzaju księżycowej taksówki, między statkiem na orbicie okołoksiężycowej, a powierzchnią Srebrnego Globu.

Energia niezbędna do lądowania, startu z Księżyca oraz spotkania ze statkiem macierzystym jest znacznie mniejsza niż do bezpośredniego lądowania „Apollo".

Taki właśnie ostateczny kształt otrzymał obecnie zrealizowany przez specjalistów amerykańskich program „Apollo".

• • • •

Wszystkie powyższe rozważania dotyczą lotu, lądowania na Księżycu i powrotu na Ziemię statku z załogą ludzką. Ich praktyczna przydatność może jednak kształtować się zupełnie inaczej w przypadku, gdy idzie o wyprawę stacji autonomicznej po takiej samej trasie. W takim przypadku szczególnie duże, jak się wydaje, szanse realizacji ma wariant bezpośredni: lot stacji na Księżyc — jej lądowanie — start i powrót na Ziemię. Warto chyba o tym pamiętać, śledząc loty radzieckich automatycznych stacji księżycowych.

T.Z. (WIT-AR)

Ośrodek kontroli lotów załogowych w Houston w Teksasie. Stąd utrzymywano stałą łączność radiową z astronautami na pokładzie „Apollo - 11" i LM. Zdjęcie wykonano czasie pierwszej tego rodzaju telewizyjnej z powierzchni Księżyca, co zarejestrowały wszystkie monitory kontrolne. W prawym, górnym rogu widzimy ekran, na którym bardzo wyraźnie było widać poczynania astronautów.

CAF — UPI — telefoto

Wokół Ziemi coraz gęściej

Obok wysyłania na orbitę wokółziemską statków kosmicznych z astronautami na pokładzie, Związek Radziecki i USA, a ostatnio i inne kraje, jak Francja i W. Brytania, umieszczają w kosmosie liczne sztuczne satelity Ziemi z aparaturą naukową i doświadczalną. Te brzeszlogowe satelity służą do badania różnorodnych zjawisk przestrzeni kosmicznej. Wszystkie dotychczas wystrzelone satelity można ująć w następujące grupy:

Satelity badawcze: Są to geofizyczne laboratoria naukowe, które służą do kompleksowego badania przestrzeni kosmicznej. Do tej grupy należą satelity typu „Kosmos" (ZSRR wystrzelił już ok. 300 tego rodzaju aparatów), „Explorer", „Electrin", „Pegaz", „OGO".

Satelity nawigacyjne: Dzięki tym satelitom okręty i samoloty dalekiego zasięgu mogą określić dokładnie miejsca swego położenia. Należą tu satelity „Transit".

Satelity geodezyjne: Zadaniem satelitów geodezyjnych jest przeprowadzenie dokładnych pomiarów wielkości i kształtu globu ziemskiego. Do tego celu wykorzystywane są niektóre aparaty typu „Explorer".

Satelity wzmacniające: Satelity te o nazwie „OSO" badają promieniowanie i materię kosmiczną.

Satelity geograficzne: Do grupy satelitów geograficzno - trzykosmetrycznych należą obiekty typu „Anna", „Research-Explorer 19". Dokonują one różnych pomiarów potrzebnych do opracowania dokładniejszej, niż dotychczasowa, mapy Ziemi.

Satelity łączności: Tę grupa satelitów ma duże znaczenie praktyczne. Służą one do nawiązywania dalekowzrzutnej międzykontynentalnej łączności radiowej, telewizyjnej, telefonicznej i dalekopisowej. Należą tu takie obiekty jak: „Molnia", „Telstar", „Relay", „Courier 1B", „Syncom", „Oscar", „Echo" i „Early Bird".

Satelity meteorologiczne: Satelity tego typu są wykorzystywane do układania prognoz pogody. Dokonują one zdjęć powłoki chmur, zaistniałych Ziemię oraz informują służbę meteorologiczną o pojawianiu się huraganów i tajfunów. Należą tu satelity typu „Tiros", „Nimbus" oraz niektóre „Kosmosy".

Księżycowa taksówka

Co zrobię z „moim" kawałkiem Księżyca?

Kilkadziesiąt kilogramów materii Księżyca — gleby i kamieni, które zebrali kosmonauci — ma być do dokładnego zbadania rozesłane do wielu laboratoriów na świecie. Księżycowy „przybysz" przypadnie także Francji. Czasopismo francuskie „Nauka i Życie" opublikowało rozmowę z prof. Jean Orcelem, specjalistą od badań meteorytów, przeprowadzoną pod sugestywnym hasłem: Co zrobię z moim kawałkiem Księżyca? Poniżej publikujemy główne tezy wypowiedzi francuskiego uczonego:

Najpierw pewne zastrzeżenie. Kosmonauci nie oddzielili się od pojazdu księżycowego. Zbierali próbki trochę na „los szczęścia" — po prostu te, które były najbliżej. Oczywiście, wpłynie to w ograniczający sposób na później sze wysnuwanie wniosków, dotyczących całości powierzchni Księżyca. Niemniej to pierwsze, bezpośrednie spotkanie z materią innego ciała niebieskiego ma dla badań naukowych znaczenie przełomowe.

Czego spodziewamy się po tych badaniach? Trzeba tu na początek wyjaśnić fakt o znaczeniu zasadniczym: zewnętrzna warstwa powierzchni księżycowej jest stara. Prawdopodobnie mot na ją porównać do skorupy naszej Ziemi z okresu, zanim jeszcze procesy erozji i osadzania, związane z obiegiem wody, nie ukształtowały dużo późniejszej rzeźby powierzchniowej, która maskuje geografię pierwotną. A więc na podstawie badań próbek księżycowych będziemy mogli dowiedzieć się o genezie naszego globu.

Przekonamy się też, czy albo mie kratery na Księżycu powstały w wyniku uderzeń meteorytów - gigantów, czy też są tam również kratery pochodzenia wulkanicznego. Jeżeli znajdziemy fragmenty meteorytów, porównamy, w jakiej mierze są one podobne do tych, które spadają na Ziemię. Będziemy szukali istnienia, obok skał zasadnych (jak bazalty), skał kwaśnych typu granitów. Jest szczególnie ciekawe, czy metaliny na ślady meteorytów zawierających węglowodory. Rozwiną się następnie badania struktury i składu mineralogicznego próbek. Wszystko to pozwoli zasadnie na zweryfikowanie hipotez o powstaniu Księżyca. Warto przy pomnieć, iż jedna z nich zakłada, że Księżyc, jak Ziemia, powstał z zagęszczającego się międzygwiezdnego pyłu i gazów; druga zaś głosi, że Srebrny Glob jest cząstką Ziemi, od której w pewnym momencie się oderwał.

Jest prawdopodobne, że odnajdziemy w próbkach wielkie podobieństwa do starych, kwaśnych skał ziemskich. To zaś może nam dostarczyć wiele cennych wiadomości o warunkach skorupy naszego globu na głębokości 30-40 km, do których jeszcze nie jesteśmy w stanie dotrzeć.

Oczywiście, będziemy szukać zarodków życia, które — jeżeli istnieją — będą zapewne skrajnie prymitywne: zakładamy przecież, że na powierzchni Księżyca nie ma wody. Gdyby jednak zdarzały się tam wybuchy gazów wulkanicznych — możliwe, że do wolby trochę wody. Istnieje więc możliwość odnalezienia śladów uwodnionych, które ma my na Ziemi, jak na przykład uwodnione krzemiany magnezu, spotykane też w meteorytach.

Jeżeli więc w próbkach księżycowych znajdą się cząstki meteorytów z zawartością węglowodorów, kwestia obecności organizmów żywych stanie się bardziej realna. Na Ziemi odnalezione dotychczas niewiele takich meteorytów — odkryto w nich węglowodory, a także ślady materii organicznej, jak np. cukry. Wyniki te są, czy składniki te rzeczywiście znajdowały się w meteorytach, czyli spadły na nasz glob, czy też pojawiły się w nich z chwilą zetknięcia się z Ziemią.

Gdyby w próbkach księżycowych, które otrzymamy w całkowitym odseparowaniu od siedziska ziemskiego, odkryto meteoryty z zawartością węglowodorów — wyniki badań nad nimi mogłyby wnieść bardzo dużo. Jest więc rzeczą możliwą, że dzięki powtórzeniu życie. Ale nawet jeżeli do takich odkryć nie dojdzie, jest sam fakt obecności na Księżycu materii węglowodorowej ma tem znaczenie, że w środowisku Księżycowym warunków sprzyjających ewentualnemu pojawieniu się życia.

Oczywiście, nie można zbyt wiele spodziewać się po badaniach stosunkowo niewielkiej ilości próbek, zebranych raczej w rzadkich przypadkach. Ale wielka, naukowa przygoda bezpośredniego poznania Księżyca jest już rozpoczęta.

(oprac. m. ł)

(WIT-AR)

Próbki zawierają wodę?

Szczególnie interesujące, jest, nie więcz sensacyjnie zapowiadają się próbki gleby księżycowej pobranej z głębokości około 30 cm. Pobrano je wbijając w glebę księżyca małe pojemniki o kształcie rury. Przy wbijaniu pojemnik przechodziły kolejno cały szereg warstw gleby, przez które przechodziły.

Przez pierwsze centymetry pojemnik wchodził bez oporu. Na głębokości 5—7 centymetrów napotkał silny opór gleby. Potem znowu opór stał się mniejszy, a zwartość gruntu tak mała, że drążek pojemnika nie utrzymywał się sam w pozycji pionowej. Pobrany materiał był zbity i miał kolor ciemniejszy niż powierzchnia Księżyca. Sprawiał wrażenie, że jest przesiąknięty wilgocią. Odkrycie zapasów zamarzniętej wody na powierzchni Księżyca byłoby sensacją naukową o ogromnym znaczeniu dla przyszłego rozwoju badań księżycowej powierzchni.

(WIT — AR)

Tygodnie kwarantanny

Zarazki nawet, tu na Księżycu nie istnieją wykluczone zostały wszelkie materiał organiczny. Co nie ma tylko bakterii i wirusów. Czy oznacza to, że wraz z powrotem kosmonautów nie nie zagrozi ludzkości? Na pewno nie. Ale na wszelki wypadek mamy się liczyć trzeciem od odlotu lipiec bez przykrych niespodzianek. Wszystkie rzeczy, z którymi zetknęli się astronauci zostaną poddane sterylizacji. Sterylizacja taka, jaką przechodzą dziś rzeczy, z którymi ma do czynienia pacjent na sali operacyjnej, czyli sterylizacja parowa, czy też gazowa, np. z dwutlenku polietylenu, czy też jeszcze innymi metodami.

Jest też szereg, że program powrotu i ewentualnej ewakuacji na Księżyc przewidział szczegółowo opracowane środki zabezpieczające. Chodzi tu zwłaszcza o próbki księżycowej „gleby", które będą badane w 144 laboratoriach naukowych na całym świecie, jak i w całym kosmosie tów. Wszystkie te pomieszczenia Siebowego Globu.

Próbki księżycowej w czasie trzy powrotu wylądowały na Ziemi, nie otrzymują, które będą mogły na badania przechowywane w [illegible] na Księżycu przechodzą zanalizowane. Z tej to przyczyny zbadane zostaną dopiero [illegible] Zanim zostaną dane [illegible] Ziemi, do Houston, do [illegible] Tam przechodzą [illegible] Dopiero [illegible] Wszystkie [illegible] Księżycu [illegible]

CO, GDZIE, KIEDY?

Dziś sobota — 2 sierpnia. Imieniny Gustawa. Słońce wschodzi o godz. 5.27 a zachodzi o godz. 19.21.

KIELCE

TEATR [illegible]

KINA

„Roman [illegible]

[illegible]

[illegible]

[

JAK WRACAĆ ZNAD RZEKI?

Kolejne lata doświadczeń sobotnio - niedzielnych wyjazdów nad rzekę wykazują, że właśnie te podróże po słońce i wypoczynek mają zwykle tragiczny finał. Nikt jeszcze w zasadzie nie zadał sobie trudu, żeby dokonać rzetelnej analizy przyczyn tego stanu rzeczy. Ostatecznie jedzie się po ciężkim tygodniu pracy na wypoczynek, jak zwykle jedzie się ostrożnie (podczas wyjazdów za miasto notuje się znikomą ilość wypadków), wypoczywa się w cieniu drzew, lub w promieniach słońca, zażywa rzecznej kąpieli i wieczorem w dobrej przeważnie kondycji fizycznej jeszcze lepszej psychicznej wraca do domu. I wówczas właśnie zdarzają się wypadki drogowe, wszelkiego rodzaju kolizje, zagniecenia karoserii, a także wypadki śmiertelne.

Dlaczego tak się dzieje? Przecież pozornie osoby kierujące pojazdami powinny być całkowicie wypoczęte, nie wchodzi w grę pośpiech, przecież to nie ważne, czy wrócimy do domu parę minut wcześniej czy później, nie jedziemy do pracy, czy na umówione spotkanie. A jednak wypadki są. Czyżby wchodziła tu w grę kawalerska fantazja, chęć pokazania innym użytkownikom dróg naszego opanowania pojazdu, naszych umiejętności jeździeckich i sprawności wozu? Na pewno tak, wypoczynek zrobił swoje, rozpiera ludzi fantazja. Weźmy jednak pod uwagę, że nie tylko tych ludzi za kierownicą, lecz także mieszkańców wsi licznie wyjeżdżających na drogę o zmroku. Ubiegłej niedzieli motocyklista wyprzedzając w Radlinie trzy spacerujące drogą dziewczyny uderzył w jedną z nich. Zginęła na miejscu. Niedzielne powroty znad rzeki są tragiczne i będą jeszcze tak długo, aż wreszcie zrozumiemy wszyscy, że nie trzeba się tak bardzo spieszyć z powrotem do domu. Mamy czas, możemy jechać wolno i uważnie. Zysk kilku minut można bowiem przypłacić stratą swojego lub cudzego życia. Zupełnie nieopłacalny interes...

(bar.)

SPACERKIEM po Phnom Penh

(Korespondencja własna Agencji Robotniczej w Kambodży)

Gorąco jak w fińskiej łaźni. Mimo bardzo wczesnej pory, termometr wskazuje już 37 st. C. Dotychczasowe, przelotne przejażdżki po Phnom Penh pozwoliły nam stwierdzić, że jest to miasto żywe i ruchliwe, bardzo nowoczesne, choć z zachowaniem stylu dawnej architektury, nade wszystko czyste i uporządkowane. Ruch na jezdni równie duży, co niezdyscyplinowany, chociaż może za wzór prawidłowe, a nawet chaotyczne.

Miasto przecina kilka głównych, przelotowych arterii: — bulwarów Mao Tse-tunga, Sihanouka, de Gaulle'a, Zwiazku Radzieckiego, wszystkie o gładkich, asfaltowych nawierzchniach, które, o dziwo, nie miękną w tym potwornym słońcu.

Wszędzie bardzo dużo sklepów, ocienionych kolorowymi markizami, pod którymi rozłożone są bogate asortymenty towarów przeważnie japońskich i chińskich. Wśród kupców prawie w ogóle nie widać Khmerów. Wynika to z wiecności i poszanowania dla religii buddyjskiej, która zakazuje oszukiwać i kłamać, a uważa się, że każdy kupiec oszukiwać i kłamać musi. Takie to już niepisane prawo handlu.

Najbardziej znanym zabytkiem miasta jest XIV-wieczna stupa, położona na jednym niewielkim zresztą wzgórzu. Legenda głosi, że zawiera ona prochy pięknej ongiś damy dworu Penh, na cześć której nazwano tym imieniem otaczającą wzgórze osadę Phnom Penh, czyli Wzgórze Penh. Stupa jest to rodzaj kamiennego grobowca, w kształcie stożkowatej wieży, osiągającej niekiedy wysokość kilku pięter.

Do stupy wmurowuje się prochy członków rodziny, otaczając je wielkim kultem. Zdumiewająco piękny i egzotyczny jest cmentarz z takimi stupami. Wykonane z białego piaskowca lub marmuru, w części pomalowane złotem i ozdobione rzeźbami boga indyjskiego Wisznu i siedmiogłowego węża Naga, stanowią scenerię prawdziwie bajkową.

Stupy spotyka się również na terenach pagod, które też stanowią wdzięczny obiekt do zwiedzania i fotografowania. Pagody z reguły zajmują rozległy, prostokątny obszar, pośrodku którego wznosi się świątynia — miejsce kultu Buddy, a wokoło niej stupy różnej wielkości i domki dla bonzów, czyli mnichów buddyjskich.

Bonzowie stanowią nieodłączny atrybut zarówno pejzażu miasta, jak i życia społecznego, edukacyjnego, a nawet politycznego Kambodży. Widać się ich wszędzie i o każdej porze dnia, jak przemierzają z torbami i menażkami w rękach ulice, obchodzą zamożniejsze domy po kweście, by wyżywić swoich braci bonzów, dzieci i starców — swoich podopiecznych, zamieszkujących pagody. Okryci kawałkiem żółtej lub pomarańczowej tkaniny, ze zgolonymi głowami, boso, prezentują postacie pełne wyrzeczenia, która nakazuje jadać skromne porcje ryżu tylko dwa razy dziennie, rano i przed godziną dwunastą w południe, a potem zażywania pić tylko wodę.

Phnom Penh, liczące obecnie 600 tys. mieszkańców, awansowało do rangi stolicy w 1866 roku. Jego intensywny rozwój jednak datuje się zaledwie od 15 lat tj. znacznie od uzyskania niepodległości. Wybudowano w tym czasie większość dużych, nowoczesnych domów mieszkalnych i dzielnic willowych, hotele, kina, teatr, budynki rządowe, szpitale, istotne mosty, dużą ilość szkół różnych szczebli.

Dumą miasta jest duży, nowoczesny stadion, wyposażony w piękną kryta halę widowiskową. System oświetlenia bardzo pomysłowy, i estetyczny, pozwala na uprawianie sportów w nocy. Zbudowanie stadionu miało między innymi za cel zapoczątkowanie rozwoju nieznanego dotąd w życiu Khmerów sportu.

Pałac królewski, zwrócony frontem według XII-wiecznych wzorów świątyń i pałaców angkorskich na wschód, leży u skrzyżowania rzek Mekong, Tonle Sap i Bassac. Tu z reguły odbywają się imprezy artystyczne w ostrosie wielkich tradycyjnych świąt kambodżańskich, jak Święto Wody. Tu spotyka się wieczorami ludność miasta dla wytchnienia po całodziennym żarze.

O jednej z tych rzek — Tonle Sap — biają tu ludzie niesamowite dziwy. Rzeka ta bowiem, swoisty unikat świata, kapryśna i niecierpliwa, zmienia dwa razy do roku kierunek swego nurtu i w ciągu pierwszych 6 miesięcy płynie w dół, a w ciągu następnych sześciu — do góry. A wszystko to po prostu zależy od wysokości poziomu wód Mekongu, który raz wody rzek Tonle Sap przyjmuje, a innym razem odpycha.

Dzisiaj zwierząt w okolicach miast niewiele już się spotyka. Minęły te tak zresztą odległe czasy, kiedy słonie stanowiły powszechny środek transportu. Epoka kolonialna okazała się rabunkowa nie tylko wobec ludzi, ale także i wobec zwierząt.

Kambodżanie to ludzie serdeczni, gościnni i pogodni. Każdego witają uśmiechem pełnym zaufania. Dobrze jest żyć wśród nich.

EWA LOTT

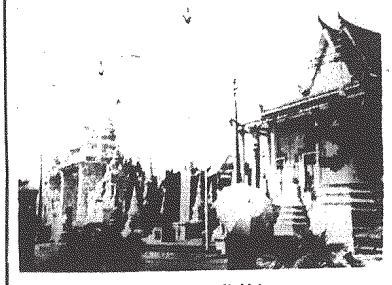

Pagoda Botum Vaddei

Fot. — AR

2 x 2 = ?

Na tematy kanikularne...

Pomówmy dziś o niektórych sprawach kanikularnych. Wprawdzie gorącego lata mamy co roku mniej, wystarczy wszakże jeden upalny tydzień, abyśmy zaczęli narzekać na pewne dokuczliwości wywołane podwyższoną temperaturą. Nie trapi już nas na ogół brak napojów chłodzących. Producenci i dystrybutorzy rozmaitych wód i soków mogliby tylko zadbać o większy asortyment napojów i bardziej rozbudowaną sprzedaż uliczną. Przykładem niech będzie Moskwa, miasto imponujące zaopatrzone w napoje chłodzące, wśród których wyróżniam zimny, musujący chlebowy kwas, sprzedawany na ulicach wprost z olbrzymich cystern. Pomysł atrakcyjny, ale przecież prosty, z łatwością dałoby się go przekopiować.

Ze sprawą napojów chłodzących wiąże się problem kawiarenek instalowanych na wolnym powietrzu. Przedwojenna, znacznie przecież szczuplejsza od dzisiejszej — Warszawa, miała więcej restauracji i kawiarni ogródkowych, aniżeli nasza obecna stolica. Nie wiem, jak to wyglądało w dawnych Kielcach. Wiem natomiast, jak się ma to sprawa w Kielcach dnia dzisiejszego. Zresztą nie tylko w Kielcach. Nie jestem przekonany, że przy tworzeniu rozmaitych planów urbanistycznych bierze się w rachubę takie właśnie głupstwo jak kawiarnia z tarasami (przepraszam, to należy do architektów). Myślę, że każda nowo powstająca kawiarnia powinna być zaprojektowana ze świadomością, że co roku zdarzają się Polakom upalne dni. Najlepsza wentylacja nie zastąpi świeżego powietrza. Wiadomo, że Polacy wypijają wyjątkowo dużo kawy. Przed dziesięciomą laty była to moda, teraz to już trwały obyczaj, z którym należy się liczyć. Kawę pija się zimą, kawę pija się latem.

Kawę w lecie chciałoby się wypić pod cienistym drzewem, albo pod parasolem, chroniącym od słońca. Tymczasem amatorów kawy zmusza się do siedzenia w dusznych, zamkniętych pomieszczeniach. Gdybyśmy mieli silną wolę, przestalibyśmy w lecie uczęszczać do naszych kawiarń. Handlowcy wszakże wiedzą, że przyzwyczajenie bywa mocniejsze od zdrowego rozsądku. Klient przyjdzie na kawę i do pełnego, zatłoczonego lokalu. Bo picie kawy stało się u niego już odruchem warunkowym, spełnieniem jakiejś konieczności. Przy czym wiadomo, że lura kawiarniana smakuje lepiej od najsmaczniejszej kawy przyrządzonej w domu. Kawę w domu piją jedynie autentyczni smakosze tego napoju. Ogromna większość nie zastanawia się nad jakością kawy. Ogromnej większości zależy na wypiciu kawy właśnie w kawiarni, wśród innych. Pozwólmy ludziom spełniać ten niezkodliwy rytuał na świeżym powietrzu.

Sądząc, że przy odrobinie pomysłowości i organizacyjnego sprytu niejedna z kawiarń nie przystosowanych do obsługi klientów poza swoim pomieszczeniem, uporałaby się ze swoimi warunkami. Jeśli istnieją ku temu dogodności przestrzenne, trzeba wychodzić w sezonie letnim na ulicę. Parę stoliczków, parę parasoli i problem przynajmniej częściowo rozwiązany. Wreszcie nie rozumiem dlaczego nie otwiera się w lecie prowizorycznych filii poszczególnych kawiarń w parku, na placach, obszerniejszych skwerach? Że nie ma zaplecza? Niemcy rozwiązują to z pomocą jednego samochodu i kilkudziesięciu termosów.

Wreszcie jeszcze jedno nieporozumienie. Nie wiem kto decyduje o lokalizacji takich lub innych punktów handlowych i gastronomicznych. Nonsensem było usytuowanie sklepów (sportowy, drogeria i sklep z materiałami fotograficznymi) pomiędzy ulicami Świerczewskiego i Kilińskiego. Przed tymi sklepami można w lecie urządzić olbrzymią kawiarnię na wolnym powietrzu. Miejsca jest dosyć. Oczywiście pod warunkiem, że zamiast sklepów byłaby tam wielka kawiarnia. Tymczasem „Kolorowa" i kawiarnia Klubu Dziennikarza nie mają żadnych szans na zainstalowanie stolików na ulicy. Wiem, że „Kolorowa" powstała znacznie wcześniej od budynku mieszczącego wspomniane sklepy. Ale to też było do rozwiązania w momencie, gdy w sąsiedztwie powstawał nowy budynek. Zresztą, może w danym wypadku nie mam racji. Nie jest to najważniejsze, czy dany przykład jest akuratny. Myśl ogólna pozostaje taka sama: nauczmy się myśleć perspektywicznie, uwzględniając wszystkie warunki, hierarchizując potrzeby.

W Bułgarii czy Jugosławii trudno o restaurację czy kawiarnię bez możliwości wyjścia w lecie poza lokal — bazę. Taką potrzebę narzucają tamtejsze warunki klimatyczne. Tam ciepłej aniseli w Polsce. Niemniej jednak i w Polsce bywa gorąco. Przy obecnych, wyraźnych oferach klimatycznych (dlaczego np. od kilku lat lipiec u nas jest pluszczący deszczem?) nie jest powiedziane, że dzisiejsi, najmłodsi Polacy nie będą musieli kiedyś paradować w kaskach tropikalnych i szortach. Zresztą mniejsza o to, co może nastąpić kiedyś. Radzmy sobie z dzisiejszymi upałami. Nawiasem mówiąc wygląda na to, że cierpień będzie gorący.

RYSZARD SMOŻEWSKI

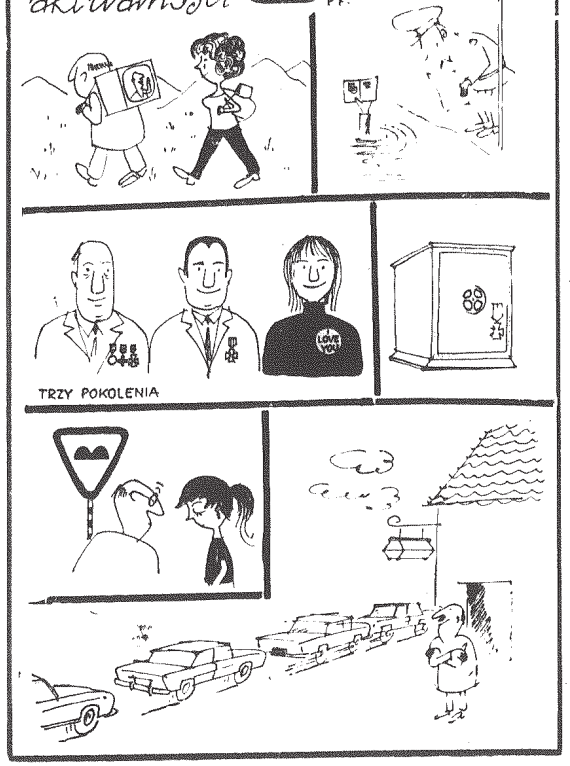

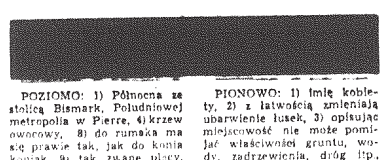

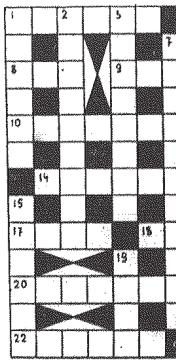

POZIOMO: 1) Północna ze stolicą Bismark, Południowej metropolia w Pierre, 6) krzew owocowy, 8) do rumaka ma się prawie tak, jak do konia koniak, 9) tak zwane placy, 10) zawdzięczamy mu szybkość przekazywania wiadomości, 11) czynność podyktowana myślą o plonie, 14) wydobywanie minerałów spod powierzchni ziemi, 17) daleko od Krymu, 18) dobrowolnie podejmujący się czegoś, 20) mały kraj, na przykład Salwador, 21) lewy dopływ Renu, 22) od Przylądka Bon do Przyl. Igielnego, 23) dobra guma do ołówka.

PIONOWO: 1) imię kobiety, 2) z łatwością zmieniają ubarwienie łusek, 3) opisując miejscowość nie może pominąć właściwości gruntu, wody, zadrzewienia, dróg itp., 5) sąsiad Bułgara, 6) pływający pomost, 7) udzielanie fachowych rad np. amatorskim zespołom artystycznym, 12) spis majątku, 13 miejsce na oczy, 15) koniec zdania, 16) ściana nasypu, 19) pochyłość góry.

Wśród czytelników, którzy w terminie 10 dni od daty numeru nadeślą rozwiązanie, losujemy 5 nagród książkowych. Pod adresem redakcji dopisywać: Krzyżówka z nr 510.

ROZWIĄZANIE Z NR 506

Poziomo: postanowienie, kolekcjonerka, zima, owsianka, Kukier, wiraż, Wendowie, Odra, naprzykrzanie, eternit, tusza.

Pionowo: pokrzykiwanie, szlem, alka, objawy, Inn, nerunga, etalaż, Ibis, zero, konopie, kirkut, tapeta, donos, rzut, Zan.

NAGRODY KSIĄŻKOWE OTRZYMUJĄ:

1) Henryk Rogala — Skarżysko, ul. Sikorskiego 20/99, 2) Zofia Schabek — Radom ul. Biawatna 2, 3) Maria Garbowiec — Radom, ul. Nie działkowskiego 29 m. 5, 4) Antoni Piróg — Radom, ul. Sportowa 32, 5) Stanisław Głowania — Ostrowiec, ul. Mila 6.

RZECZY DZIWNE I CIEKAWE

Dobre wychowanie.

W „Almanachu" savoi-vivru" z 1877 r. jego autorka, hrabina de Bassanville, pisze: „Jeżeli wdowa wchodzi ponownie w związki małżeńskie przed upływem żałoby, która wynosi 2 lata — zdejmuje tę żałobę tylko na dzień ślubu, po czym już następnego dnia znów ją wkłada i nosi aż do czasu, gdy termin jej minie. Nowo poślubiony mąż — jeśli jest człowiekiem znającym dobre maniery — przywdziewa na ten okres żałobę razem z nią".

Czym mamy oddychać?

Fabryka cukrownicza miesięcznie 50 tys. ton węgla w ciągu jednego dnia wytwarza 250 ton popiołu, którego część dostaje się do płuc okolicznych mieszkańców i to w promieniu 5 km.

Wydzielane przez motory aut gazy spalinowe są cięższe od powietrza, to też zanim rozproszą się w atmosferze — gromadzą się tuż nad ziemią. Tak więc małe dzieci prowadzone przez matki ruchliwymi ulicami miast oddychają znacznie bardziej trującym powietrzem, niż ludzie dorośli.

Maszyny zużywają olbrzymią ilości tlenu, np. odrzutowiec przebywający Atlantyk pożera go aż 25 ton.

Z tajemnic starożytności

Karbowana i plisowana szatę była bardzo cenioną w starożytnym Egipcie. Umaczenia te rzeźby i malowidła z okresu Starego Państwa (ok. 2650 r. — 2125 r. przed naszą erą. Płyty cienkiutkiego płótna przed plisowaniem usztywniano gumą, po czym na mokro układano je w pliszy i suszono na słońcu. Nie udało się jednak dotychczas stwierdzić, czy układania to dokonywało się ręcznie, czy też Egipcjanie używali do tego jakichś specjalnych form.

Niniejszą opowieść rysunkową oparto na obszernych fragmentach książki Czesława Chlebowskiego pt. „Pozdrowcie Góry Świętokrzyskie" (Łódzkie", 1966), poświęconej dziejom oddziału „Ponurego" — Jana Piwnika, dowódcy zgrupowania partyzanckiego Armii Krajowej, walczącego na Kielecczyźnie.

43. Przekradając się od domu do domu „Bronek" dotarł wreszcie na pola gdzie chłopcy pasli krowy, ale nawet surbeniowskie łąki otoczone były niemieckimi placówkami. Zawinięty w koc przesiedział więc z pastuchami do zmroku.

44. Odnalezienie zgrupowania nie było sprawą łatwą. „Ponurzy" koncentrował właśnie oddziały, tworząc na powrót dużą 300-osobową grupę i ostrzeżono o pacyfikacji fabryki, odskoczył głębiej w las.

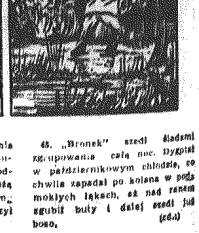

45. „Bronek" szedł śladami zgrupowania całą noc. Dygotał w październikowym chłodzie, co chwila zapadał po kolana w podmokłych łąkach, aż nad ranem zgubił buty i dalej szedł już boso.

(ed.)